



VILLA
DECIUS

Saga

bohaterowie codzienności





VILLA
DECIUS

Saga

bohaterowie codzienności



Kraków 2013

Copyright © for texts by Authors, 2013
Copyright © for this edition by Stowarzyszenie Willa Decjusza, 2013

Redakcja: Magda Jasińska, Anna Kowalska

Współpraca redakcyjna i korekta: Urszula Ciesielska-Chmielewska

Fotografie: Beata Brożek, Danuta Ilcewicz-Stefaniuk, Anna Kowalska, Paweł Mazur

Opracowanie graficzne: Pio Kaliński, Mariusz Rutkowski

Druk: Drukarnia Pasaż

Nakład: 200 egz.

ISBN: 978-83-61600-84-8



Stowarzyszenie Willa Decjusza
ul. 28 Lipca 1943 17a, 30-233 Kraków
www.villa.org.pl
www.saga.villa.org.pl



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Spis treści:

od redakcji	7
PRACE KONKURSOWE	
Bożena Bertman	
Mimo trudności.....	11
Krzysztof Bogucki	
Jarek	13
Krystyna Chmielińska	
Pamięć – trwanie przeszłości	17
Urszula Ciesielska-Chmielewska	
Myśli.....	21
Lucyna Drelinkiewicz	
Ruska	23
Jadwiga Goraj	
Zwyczajne królowanie	27
Barbara Kozubek-Marczyk	
Z podniesionym czołem	31
Anna Marek	
Zwyczajna codzienność	35
Jolanta Mirecka	
Ja – bohaterka codzienna	39
Anna Nowińska	
Madonny współczesne	43
Anna Nozderka	
Ostatnie słowo	47
Anna Okrzesik	
Pieski los	51
Krystyna Pieniążek	
Nauczyciele	53
Elżbieta Świerczyńska	
Nagroda Nobla	57
Anna Waczyńska	
Zielone filiżanki	61
Marek Walawender	
Teresa i Edward	65
Jadwiga Zgorzelska	
Życ trzeba	69

ROZMAITOŚCI

Izabella Bociańska	75
Elżbieta Boroń	77
Wanda Chrabąszczewicz-Ziobrowska	79
Barbara Cieniawa	81
Romana Cieśla	83
Teresa Cisłowska	85
Maria Czaplńska	89
Danuta Czerny-Sikora	91
Danuta Glonek	93
Bożena Gutowska	95
Danuta Ilcewicz-Stefaniuk	97
Urszula Jaksik	99
Jadwiga Jamińska	105
Aldona Kawa	107
Izabella Kobuszewska	109
Maria Kolowca	111
Anna Kołodziejczyk	113
Andrzej Lelito	115
Anna Maria Michalik	117
Antoni Niedziałkowski	119
Alicja Osika	121
Anna Pawlus	123
Tadeusz Starzyk	125
Małgorzata Szreniawa-Gut	127
Barbara Waksmańska	129
Mariola Wójtowicz	131
Michał Znamirowski	133
Adam Zyzman	135
Saga	139

od redakcji

Publikacja, którą oddajemy w Państwa ręce, jest zwieńczeniem warsztatów kreatywności dla osób starszych – Saga, zrealizowanych w Stowarzyszeniu Willa Decjusza w Krakowie. Znalazły się tu teksty nagrodzone i wyróżnione w konkursie literackim pt. Saga – bohaterowie codzienności oraz skromny wybór prac i ćwiczeń warsztatowych lub ich fragmentów. Ingerencja redaktorska jest minimalna, zależało nam na zachowaniu indywidualnego rysu, stylu, oraz formy napisanych tekstów. Chodziło nam o ukazanie warsztatu, ale przede wszystkim wyobraźni i potencjału pisarskiego. Autorzy to osoby po 55 roku życia. W dużej mierze amatorzy. Zapaleni amatorzy. Ci, którym nie wystarcza bierny odbiór kultury. Aktywnie uczestniczący i zaznaczający swoją obecność poprzez własną twórczość. Cieszymy się, że udało się sprowokować uczestników i uczestniczki Sagi do otworzenia symbolicznych szuflad pamięci o miejscach, ludziach i zdarzeniach, które zaczęli na nowo odkrywać przed nami i sobą samymi. Z dystansem, szczerością i pisarskim zaangażowaniem. Doświadczenia i autoreflexje mieszają się więc z literacką fikcją i konstrukcjami wyobraźni. Tytułowi bohaterowie codzienności są niejednoznaczni, często autoironiczni. Brak im pomnikowego patosu, medialnego zadęcia czy predyspozycji do społecznych medali lub orderów. To bohaterowie prywatni i niedoskonali, których codzienne historie – w literackim ujęciu naszych autorów – wydają się być zdecydowanie niecodzienne.

Składamy gorące podziękowania prowadzącym warsztaty Katarzynie Kubisiowskiej i Joannie Pawluśkiewicz za niezawodność, odwagę w podejmowaniu trudnych tematów, zachęcanie uczestników do poszukiwania nowych ścieżek i nieustającą wiarę w ich możliwości. Za pomoc w opracowaniu tej publikacji dziękujemy Urszuli Ciesielskiej-Chmielewskiej, uczestniczce Sagi, która z wielką starannością i życzliwością wspierała cały proces redakcyjny. Wszystkim uczestnikom i uczestniczkom projektu Saga serdecznie gratulujemy ukończenia kursu i dziękujemy za niesamowitą energię, poczucie humoru oraz dystans do siebie i rzeczywistości. Byliście Państwo bardzo wymagający i zaangażowani, ten czas był dla nas wyzwaniem i prawdziwą przyjemnością.

Teksty zawarte w tej książce oraz dużo więcej znajdziecie Państwo na stronie www.saga.villa.org.pl

Magda Jasińska
Anna Kowalska

PRACE KONKURSOWE



Bożena Bertman

Wyróżnienie w konkursie

Mimo trudności...

Nie czuję się bohaterem, tylko człowiekiem, któremu życie napisało zdumiewający scenariusz, pełen dramatycznych przeciwieństw. Uchodziłam za osobę urodzoną w czepek. Zdrowa, sprawna, dwa dyplomy z odznaczeniem, zgodne, inspirujące małżeństwo, brak problemów finansowych, ciekawe przyjaźnie, podróże, życzliwa, bezkonfliktowa atmosfera w pracy, wszystko okey.

W wieku trzydziestu lat urodziłam syna. Radość ogromna, bo miałam wcześniej problemy ginekologiczne. Niestety, ta radość trwała tylko dwa tygodnie, bo przerodziła się w poporodową hipomanię. Mąż zdeorientowany, nie rozumiał mojej nadaktywności, emocjonalnej przesadnej egzaltacji, bezkrytycznego przekonania o wszechmocy. Zrozumiał, że to nienormalne zachowanie, że muszę się leczyć. Pamiętam do dziś jego przerażone oczy i zdławiony głos. A ja, przekonana, że jestem zdrowa, że muszę być z rodziną, buntowałam się, nie chciałam łykać leków. Terapia, prowadzona przez kompetentnych, przyjaznych lekarzy, trwała bardzo długo. Wróciłam do domu po trzech miesiącach. Zaczęłam obsesyjnie myśleć o tym, jak mogłam zostawić maleństwo, obwinałam się za dramat, jaki spowodowałam, za okropne przeżycia, na jakie naraziłam męża i dziecko. Stałam się smutna, ponura, nie umiałam nic zrobić. Nawet nie umiałam przerwać życia. Trudno opisać mój ówczesny stan psychiczny, przytłaczający, żałamujący, tragiczny. Jedna czarna otchłań. Zupełnie nie wierzyłam, że mogłabym wrócić do dawnego życia, ale pozwoliłam się zawieźć do kliniki. Potem leczyłam się w domu. Do pełnego zdrowia i pracy wróciłam, gdy synek skończył dwa lata. Pełna norma. Koncentracja na rodzinie i pracy. Po pewnym czasie, niestety, pojawiły się znowu epizody psychotyczne. Osłabiony psychicznie organizm reagował na przesilenia emocjonalne lub umysłowe: egzamin specjalizacyjny, ciężka i niebezpieczna operacja męża, długi wyjazd zagraniczny syna. Znowu kilkakrotne, traumatyczne leczenie i dominująca

świadomość, że narażam męża i syna na bolesne przeżycia. Silny lęk o to, czy będę zdolna normalnie funkcjonować, zaburzenie poczucia bezpieczeństwa.

Chyba nietypowe było to, że zawsze po skończonej hospitalizacji, jeszcze na otępiających lekach podejmowałam wszystkie obowiązki zawodowe i domowe, często trudne, absorbujące. Wtedy wszystko funkcjonowało na piątkę z plusem. Mąż zaliczał jeden sukces za drugim, syn świetnie się rozwijał, ja byłam aktywna i pogodna. Pracowałam w pięciu instytucjach, czasem w dwóch równocześnie, zawsze zadowolona z pracy. Na emeryturę przeszłam w wieku sześćdziesięciu pięciu lat z dużą obawą, jak zagospodaruję swój czas, wykorzystam energię, dobrą kondycję.

Okazało się, że najpierw musiałam zaopiekować się ciężko chorą siostrą męża, potem nim samym jako pacjentem kardiologicznym, wreszcie wnukiem. Zaczęłam korzystać z oferty Parku Wodnego, a także instytucji angażujących seniorów takich jak Stowarzyszenie Willa Decjusza czy Akademia Pełni Życia. Ponadto systematycznie „zaliczam” Dojrzałe Kino i Dyskusyjny Klub Książki...

Rodzina. Mąż idealny (zwłaszcza według własnego osądu), pasjonat medycyny, ktoś, na kim można zawsze polegać. Syn wszechstronnie uzdolniony, wysportowany, angażujący się w dyskusje na każdy temat. Teraz ojciec dwóch wspaniałych, ślicznych synów, którymi opiekuje się razem z piękną, mądrą życiowo żoną. To mocne charaktery, ale uzupełniają się i uczą pokonywania trudności.

Różnie układa się życie osób, które dotknęła choroba psychiczna, różne ich przyczyny i przebieg. Ja po powrocie z leczenia nie wstydziałam się swoich „epizodów”. Nie izolowałam się od ludzi czy to w pracy, czy od dawnych przyjaciół i nowych znajomych. Staralam się funkcjonować bez kompleksów i taryfy ulgowej. Oczywiście było to możliwe także dzięki oparciu w najbliższych, krytycyzmowi i samokontroli. Może mogłabym zaryzykować twierdzenie, które znalazłam w 22/3334/ nr *Tygodnika Powszechnego*: „Wszystko co nas spotyka, nawet bolesne, straszne i niemożliwe do pojęcia, stanowi część zawsze pogodnej Opatrzności”.



Krzysztof Bogucki

Wyróżnienie w konkursie

Jarek

Jarek był fajny.

Może dziś, po latach, znalazłbym lepsze, bardziej wyrafinowane i bardziej literackie określenie dla Jarka, ale wtedy, wiele lat temu tak właśnie określałem mojego kolegę, ośmiolatka, jak ja.

Był rok 1947. Świat lizał rany po strasznej wojnie. Miliony ludzi, dipsów, jak ich nazywano – *Displaced Person* (ludzi, nie należących do miejsca, gdzie się znaleźli) – szukały swoich starych domów, nowych miejsc do życia, swoich bliskich. My też, w pewnym sensie, byliśmy dipsami. Jarek, urodzony gdzieś koło Antwerpii, przyjechał z matką do Polski, gdy ojciec, syn polskiego górnik, zaginął w wojennej zawierusze. Ja, urodzony koło Worochty w województwie stanisławowskim, na Kresach, wyrzucony z rodziną z domu, po dziewiętnastu dniach podróży w bydłych wagonach, osiadłem w Krakowie.

Spotkaliśmy się z Jarkiem w J. na Ziemiach Odzyskanych, jak je wówczas obowiązkowo nazywano. Matka Jarka zamieszkała tu z jego nowym ojcem i wydzierżawiła działkę. Moja babcia przyjechała wraz ze mną do J. na wakacje; tu zamieszkała jej córka a moja ciocia, żona zdemobilizowanego oficera. Działka cioci sąsiadowała z działką Jarka, stąd nasza znajomość. Lato było piękne, toteż uciekaliśmy z ulic miasta, o którym tylko historia wspominała, że założył je polski król Bolesław Krzywousty, a niemieckie napisy i niemieccy mieszkańcy, którzy nie zdołali jeszcze wyjechać, czyniły obcym i wrogim. Krążyły opowieści o niemieckich bandach, puste domy ze śladami szabru straszyły wybitymi oknami.

Za to na działkach było wspaniale. Schowani za wyższymi od nas krzakami porzeczek, obsypani tysiącami rubinowych kiści opowiadaliśmy sobie różne historie – on mnie o czołgach generała Maczka zmierzających do Holandii, ja jemu o małym Heniu ze Stanisławowa, który, znaleziony pocisk do Panzerfausta, usiłował wcisnąć brzuchem do lufy i którego szczątki można było zobaczyć wysoko na drzewie. Bawiliśmy się także w żołnierzy jak to chłopcy, zbyt mali, żeby zdawać sobie sprawę, czym jest naprawdę wojna. Było także coś innego, co łączyło nas. To było kolekcjonowanie militariów. Jarek chwalił się znalezionym na śmietniku przy skwerze poniemieckim hełmem, ja szablami, które niemiecki robotnik znalazł w trakcie remontu domu i sprzedał mi za torbę jabłek.

Tego dnia postanowiliśmy oglądnąć niezajętą działkę za działką cioci. Znaleźliśmy dziurę w siatce i po chwili oglądaliśmy już otwarty domek, wyschnięte „oczko” wodne, w końcu doszliśmy do śmietnika – gruzowiska zarośniętego pokrzywami. – Patrz, tam coś jest – powiedział Jarek. Rzeczywiście coś lśniło wśród pokrzyw. Napracowaliśmy się, kładąc jakieś deski i blachy, żeby z poparzonymi pokrzywami nogami, dotrzeć do obiektu. Nie wiedzieliśmy co to. Z kształtu podobne do jajka, ale większe, pokryte jakby skorupą poprzecinaną w kwadraty. Z jednego końca owalnego jajka wychodziła jakaś blaszka. Zaczęliśmy ją odginać, ale nie udało się, była zbyt zardzewiała. Odkryliśmy drut z kółkiem jak do kluczy. Metodą prób i błędów udało się wyciągnąć drut z blaszki, ale nadal nic się nie działo. Chcieliśmy dostać się do środka, zaczęliśmy uderzać „jajkiem” w ziemię – nadal bez rezultatu.

– Wiesz, trzeba to kropnąć kamieniem – powiedział Jarek. Poszliśmy poszukać kamienia. Wkrótce znalazłem kawałek krawężnika, był ciężki, ująłem go w ręce i z trudem, drobnymi kroczkami, taszczyłem w stronę Jarka. Byłem już kilka kroków od niego, kiedy usłyszałem głos babci – Krzysiu! – Chwileczkę! – odrzyknąłem. – Ja ci dam chwileczkę! W tej chwili proszę tu przyjsć! Spojrzałem na Jarka i na ile pozwolił mi ciężar kamienia, wzruszyłem ramionami. Puściłem kamień i pobiegłem. Kiedy znalazłem się na naszej działce, zwolniłem. Babcia stała na tarasie w drzwiach naszego domku-altanki, duża i groźna. Byłem od niej trzy metry. Nagle poleciałem do przodu, głową naprzód. Uderzyłem w jej brzuch, babcia upadła na plecy, a ja na nią. Na nas leciały śmieci, jakieś luźne deski altanki. Po chwili zaczęliśmy wstawać, babcia mówiła coś, ale żaden głos nie docierał do mnie. Zakrzusłem się prochem, przełknąłem ślinę – odzyskałem słuch. Wybiegliśmy z babcią na taras. Naprzeciwko nas olbrzymia tarcza złoto-krwistego słońca dotykała niemal horyzontu. Na jej tle pojawiła się sylwetka dziecka, czarna jak z chińskiego teatru cieni. Szła powoli, nierówno jak pijak. Zbliżała się, uniosła rączki. – Boże – krzyknęła babcia. Jedna rączka dziecka kończyła się na łokciu, druga – na nadgarstku. Postać przeszła jeszcze parę kroków, później runęła na twarz.

Potem był tylko chaos, babcia wyciągająca ręczniki, ciocia tamująca nimi krew, wujek biegnący do telefonu, w końcu karetka i dwaj sanitariusze z noszami. Było już ciemno, kiedy przyjechało wojsko. Nieskończenie ostrożnie przenosili nasze „jajko” do swojego samochodu – wybuchnął tylko zapalnik, gdyby nastąpiła eksplozja samego, straszliwego granatu przeciwpancerneho, z Jarka nie zostałyby nawet tyle, co z Henia. Jarek przeżył. Prawą rękę amputowano mu do barku, lewą przed łokciem. Nim wyszedł ze szpitala, moje wakacje skończyły się i wyjechałem z J.

Dwadzieścia lat później zobaczyłem Jarka na basenie. Poznałem go po kikutach, ale wahałem się, czy podejść, a potem zniknął mi z oczu. Kiedy po następnych dwudziestu latach zawitałem do J., dowiedziałem się, że Jarek popełnił samobójstwo, nie wiem, z jakiego powodu ani w jaki sposób.

Szkoda, Jarek był fajny.





Krystyna Chmielińska

Wyróżnienie w konkursie

Pamięć – trwanie przeszłości

(z pamiętnika dojrzałej kobiety)

Dojrzała kobieta – kto to? Czy jedynym kryterium tej klasyfikacji jest wiek? Znam wiele dwudziestoletnich kobiet, które swoim życiem pokazują wszechstronną dojrzałość i wiele pięćdziesięciolatek zachowujących się jak rozpieszczone dzieci. Najczęściej pojęcie „dojrzała kobieta” kojarzy się po prostu ze starszą panią, która swoje życie może już podsumowywać.

Opiszę jednak następującą historię, którą wspomina obecnie dojrzała kobieta.

Jest koniec lat pięćdziesiątych XX wieku, typowa rodzina dwa plus dwa, czyli małżeństwo z dwojgiem dzieci. Mąż-ojciec pracuje i działa społecznie, czyli nie ma go w domu cały czas, żona-matka pracuje też zawodowo, bo z jednej pensji nie da się wyżyć, ma więc na głowie pracę zawodową, cały dom i dzieci. Mieszkają w części domku jednorodzinnego (domek po rodzicach) na przedmieściach Krakowa, w drugiej części domu mieszka rodzina – siostra ojca z mężem i synem. Dojrzała obecnie kobieta ma wówczas trzynaście lat, ma młodszego o trzy lata brata i zaczęła naukę w siódmej klasie szkoły podstawowej. Jest piękny wrzesień, pewnego dnia okazuje się, że źle czująca się od jakiegoś czasu mama ma naciek na płucach, czyli gruźlicę i musi natychmiast się leczyć.

Zaczynają się długie pobyty w szpitalu gruźliczym, usytuowanym w pięknej Willi Decjusza na Woli Justowskiej, żmudne połykanie „kilogramów pastylek”, których organizm nie toleruje, częste okresy złego samopoczucia, a przede wszystkim strach i obawa co z dziećmi. Kto się nimi zajmie, jak dadzą sobie radę, tym bardziej że mieszkająca w jed-

nym domu rodzona siostra męża nie ma nawet zamiaru zainteresować się osamotnionymi dziećmi. Z konieczności więc ta trzynastoletnia dziewczynka przejmuje na siebie obowiązki, jakie tylko zdoła unieść. Chce, aby było w domu tak, jakby była mama, aby ona się nie martwiła, że nie dają sobie rady.

Na szczęście umie wiele. I w domu posprząta, i wypierze w pralce Frani (niestety, bez wyżymaczki), ale ciężko jej już wykręcić pranie, zapali w piecach, zrobi zakupy, gotować też potrafi – choć nie potrafi upiec drożdżowego ciasta, które mama piekła na niedzielne śniadanie. Ale musi też chodzić do szkoły, uczyć się i zajmować się bratem. Mieszkająca za ścianą ciotka nie pracuje, ale dzieci brata nic ją nie obchodzą, wręcz przeciwnie krzyczy na nie cały czas o wszystko, o to że buty nie wytarte, że głośno rozmawiają, że trzaskają drzwiami, często skarży ojcu, że są niemożliwe, a on się denerwuje, bo sam też nie wie, jak poradzić sobie z tą trudną sytuacją – pracować musi.

Mieszkają na małej uliczce (dziesięć budynków – w nich oprócz dorosłych, ponad trzydzieścioro dzieci w różnym wieku), sąsiedzi wszyscy się znają i problemy rodziny zaraz widzą. Widzą jak tej dziewczynie jest ciężko pogodzić wszystkie obowiązki. Pierwsza z bezinteresowną pomocą przychodzi Pani Bronia, kobieta-kaleka, na skutek krzywicy z mocno wykrzywionymi nogami i problemem z chodzeniem (często pogardliwie przez „ulicznych dowcipnisiów” nazywana „pokraką”), ale życzliwa i mimo szorstkości w sposobie bycia dobra, wyrozumiała i czuła na ludzkie problemy. Sama przynosi upieczoną pieczeń na obiad i deklaruje, że będzie przygotowywać dzieciom obiady, następnie pomoc przychodzi od Pani Mieci (mamy najbliższej koleżanki dziewczynki) i od tej pory te dwie Kobiety (piszę dużą literą o nich, bo wiele zrobiły dla dwójki dzieciaków) piorą duże prania (pościel), przygotowują obiady i mają oko na tę opuszczoną trzódkę.

Trzynastolatka chodzi do szkoły, codziennie za rękę rano prowadzi brata (zawsze ma czysty chałacik i biały kołnierz) do przyszkolnej świetlicy, gdzie spędza on czas do rozpoczęcia lekcji, a po lekcjach znów razem wracają do domu. Droga między domem a szkołą to około dwa kilometry, na szczęście spokojną uliczką. Po drodze trzeba zrobić zakupy, potem odrabiać lekcje swoje i z bratem, przygotować kolację, wyprasować ubranie na następny dzień i tak dzień po dniu, od poniedziałku do soboty (soboty nie były wówczas dniami wolnymi od pracy). Mimo tylu obowiązków zawsze znajduje czas choć na chwilę zabawy czy rozmowy z koleżankami (one też jej pomagają, jak potrafią) z ulicy – bo ta ulica, a właściwie uliczka to całe piękne dzieciństwo; to wspólne dzieci, ale i ich rodziców gry i zabawy, zawody sportowe, wieczorne śpiewy i granie na akordeonie. To miejsce, gdzie czułeś się dobrze i u siebie. Oczywiście nie obyło się bez wścibstwa i interesowania się życiem sąsiadów („wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi”), ale nikt tego nie robił złośliwie, raczej był to objaw takiej ludzkiej normalnej ciekawości.

Niedziela jest najważniejszym dniem, bo w niedzielę odwiedza się mamę w szpitalu w Willi Decjusza, niesie się trochę domowego jedzenia oraz ogromną porcję tęsknoty za normalnym domem, za kochaną jedyną mamą. Jednak nie można martwić mamy, nie można jej powiedzieć, że jest ciężko, pożalić się, że się nie zawsze ze wszystkim daje

radę, że coś nie wychodzi tak jak trzeba, że są kłopoty lub coś boli, więc nie mówi się o tym już nikomu, trzeba dawać sobie radę samemu.

Na szczęście choć pomału, choroba ustępuje, ale dalsze leczenie musi odbyć się w sanatorium i mama wyjeżdża do sanatorium przeciwgruźliczego do Makowa Podhalańskiego. Dalej trzeba być dorosłą, odpowiadać nie tylko za siebie, brata, ale i za całe codzienne funkcjonowanie domu i niestety rzadziej odwiedzać mamę, bo to już daleko i znacznie droższy wyjazd. Po około dziesięciu miesiącach wreszcie mama wraca do domu i choć blada, chuda, jest wyleczona. Niestety, musi pójść do pracy, bo mąż nie jest w stanie utrzymać rodziny. Wraca do pracy, ale w domu jest już ktoś, właśnie ta przedwcześnie dojrzała czternastolatka, ktoś kto nauczył się przez te miesiące odpowiedzialności i poczucia obowiązku, więc może będzie łatwej i jest łatwiej.

Mijają lata, ta dziewczynka dorasta, kończy studia, zaczyna pracować, zakłada rodzinę. Wydaje się, że zdobyte życiowe doświadczenie może tylko ułatwiać jej życie i tak też niewątpliwie jest, ale to nie jest cała prawda. Prawda stopniowo daje o sobie znać właściwie we wszystkich dziedzinach życia, a jest nią branie na siebie obowiązków i odpowiedzialności za „wszystko i wszystkich”. Matkuje bratu, choć też jest już dorosły i ma własną rodzinę, jest „nadopiekuńcza” dla rodziców, choć nie zawsze potrzebują tej kurateli, czuwa nad swoją własną rodziną, choć nie jest to stale potrzebne, jest też cenionym, ale według opinii wielu zbyt sumiennym i zbyt odpowiedzialnym pracownikiem. Na każde skinienie stara się być pomocna znajomym i przyjaciołom, choć nie zawsze jest to konieczne. Wydaje jej się samej, że tak powinien zachowywać się i postępować każdy człowiek, mimo że nie jeden raz czuje się tym zmęczona, że nie udźwignie wszystkiego, że kogoś zawiedzie lub nie sprosta wymaganiom. Traktuje w życiu wszelkie obowiązki i zobowiązania poważnie, chce je wypełniać zawsze odpowiedzialnie i dobrze. Tak po prostu ma być. Wymaga od siebie wiele, ale chciałaby, aby inni też byli odpowiedzialni (więc gdy coś „zawała”, siedzi nawet po nocach i to poprawia), co nie zawsze przysparza jej przyjaciół, a wiele osób postronnych nie znających jej bliżej uważa, że zawsze chce być perfekcjonistką, że jest tzw. silną kobietą, że brak jej lekkości i dystansu, że za bardzo się stara – czyli że jest taka, jak określają to wspaniałe Rosjanie – „sierożna”. Jak ma prawdziwe kłopoty i problemy, to nie umie o nich mówić innym, nie potrafi otworzyć się nawet przed najbliższymi, po prostu tężeje i daje sobie radę sama.

Dorastający syn wreszcie jej mówi: „mamo, nie bierz na siebie odpowiedzialności za cały świat”. To uświadamia jej, jak duży wpływ na całe jej życie miała ta wymuszona dorosłość i dojrzałość w okresie dzieciństwa. Zaczyna pracować nad sobą, próbuje zrzucić nadmierny bagaż z własnych barków, bo przecież inni jakoś sobie dają radę bez niej, więc zaczyna mówić czasami piękne słowo NIE: „nie mogę, nie chcę, nie dam rady, nie potrafię, nie dzisiaj...” Cóż się wówczas okazuje, że otoczenie te zmiany przyjmuje ze zdziwieniem, często z dezaprobatą, mówią: „chyba jej coś odbiło, to na starość się tak zmienia”. Wszystko byłoby dobrze, gdyby ona sama dobrze się czuła w tej nowej skórze, ale ona czuje się obco i nie umie siebie zaakceptować, więc powoli staje się znów sobą i sama z siebie często żartuje, gdzie ta „silna, konsekwentna kobieta”?

Patrząc wstecz, nie żałuje jednak tej swojej wiecznej odpowiedzialności i obowiązkowości, nie żałuje, że miała może trudną młodość, która ją ukształtowała, wie, że życie, choć nieustannie różami, przeżywa godnie, ciekawie i wcale nie smutno. Była w wielu interesujących i pięknych miejscach, widziała różne „cuda świata”, spotykała się z wieloma osobami, realizowała swoje zainteresowania i pasje, ale pamięta zawsze tę uliczkę i tych mieszkańców, wśród których się wychowywała i którzy niewątpliwie mieli wpływ na kształtowanie się jej stosunku do ludzi i życia, a najważniejsze, że właśnie z tego okresu przetrwały jej prawdziwe przyjaźnie niezbyt liczne, ale jakże cenne.

„Trzeba koniecznie pamiętać, skąd się wyszło!” (Cyprian, Kamil Norwid)



Urszula Ciesielska-Chmielewska

Wyróżnienie w konkursie

Myśli...

czerwiec 2013

Wiadomość otrzymana drogą elektroniczną. Stowarzyszenie Willa Decjusza ogłosiło konkurs. I natychmiast w martwocie mózgu wybija źródło. A z niego wypływa strumień świadomych i podświadomych myśli. Nie płynie jednak prosto. Meandruje, rozlewa się, pieni, iskrzy... Myśl pierwsza. Codziennosc, jaka jest każdy widzi. Monotonia, powtarzalność... Codziennosc to sprawa wieku, temperamentu, osobowości... Na codzienność wieku starszego i starszego pracuje się przez całe życie! Każdy ma taką codzienność, na jaką go stać! O codzienności można w nieskończoność.

Codziennie buduję codzienność.

Codziennie dźwigam codzienność. Dławię się nią, męczy mnie, przybija, boli... Nie dać się codzienności – to motto mojej codzienności. Stąd między innymi to pisanie lub pisanina. Jak kto woli!! Stąd udział w warsztatach Saga i wielu innych przedsięwzięciach. Intensywność nasycania codzienności w moim przypadku graniczy czasem z obłądzeniem. I pewnie zasługuje, by przyznać jej miano neurozy czasu wolnego, którego ma się w pewnym wieku dużo za dużo, jak donosi mi wielu moich rówieśników, czy osób nieco starszych i całkiem starych.

Myśl druga. Bohaterem mojej codzienności, no może nie głównym, ale zdecydowanie pierwszoplanowym jest STARZEJĄCA SIĘ STAROŚĆ. Obłąskawiam ją, zaprzyjaźniam się z nią. I póki co ujarzmiam. Albo mi się tylko tak wydaje. Ostatecznie w pojedynku z nią, jeśli dane mi będzie dalej starzeć się, nie mam najmniejszych szans. Ale oczywiście

chciałabym (ha! ha! ha! w granicach rozsądku) doświadczać procesów przemijania. Gdyby tak można było świadomie kontrolować przemijanie?! I w porę umieć odejść.

Myśl trzecia. Bohater w znaczeniu fizycznym! Kto to taki? Osoba wybitna, wyjątkowa, niezwykła? Ludzie szarzy, zmęczeni, z trudem wiążący koniec z końcem? Bohaterem głównym mojej codzienności jestem JA. I to nie jest próżność ani bezmyślne naśladowanie znanych memuarystów. Postrzegam coś, rejestruję, przeżywam i przeżywam. Żyję wśród ludzi – bohaterów. Moja RODZINA to zdecydowanie bohaterowie pierwszoplanowi mojej codzienności. A zaraz potem przyjaciele i znajomi. I dalej spotykane w ramach udziału w różnych „impresach” osoby. Na końcu (bohaterowie epizodyczni) ludzie spotykani na ulicach, w środkach komunikacji, marketach, kinach, teatrach, wystawach... miejsca można by mnożyć. Niepoślednią też rolę odgrywają w moim życiu osoby publiczne, bohaterowie filmów, książek... I w końcu a może zdecydowanie na początku ZMARLI. Rodzina. Przyjaciele. Znajomi. Osoby publiczne. ONI też wypełniają moją codzienność. Bardzo i coraz bardziej.



Lucyna Drelinkiewicz

II miejsce w konkursie

Za dramaturgiczną konstrukcję, brawurę językową i rozbicie w proch powszechnych stereotypów.

Ruska

– Wie pani, żeby tak nie mieć w sobie odrobiny kultury, żeby na pogrzeb męża przyjść w zielonym płaszczu – mówiła pięćdziesięcioletnia docent do młodej doktor. – Bo też co to za małżeństwo było – odparła ironicznie doktor – przecież ona młodsza od niego chyba ze czterdzieści lat... Ja profesora nie znałam, jak zaczęłam studia, to on już przeszedł na emeryturę, ale śmiali się ludzie na wydziale, że się żeni! Z jakąś młodą Ruską! Nie znałam go, ale przyszłam na ten pogrzeb, żeby ją zobaczyć wreszcie... Mówili, że śliczna podobno...

Masza idzie za trumną ze wzrokiem wbitym w ziemię. Pod stopami szeleszczą ostatnie jesienne liście. – Żółte, brązowe, nawet czerwone niektóre, szkoda – myśli – że już nie zielone. On tak lubił zielony kolor. Pierwsze buciki, jakie jej przywiózł z Polski były zielone. Miała chyba trzy albo cztery latka i już nosiła buciki. W jej wiosce za Uralem latem dzieci biegały na bosaka. On co roku przyjeżdżał na wykopaliska archeologiczne. Przywoził luksusy: konserwy mięsne, ubrania dla matki, dla niej zabawki a potem zeszyty w kolorowych okładkach, flamastry, których zazdrościły jej dzieci, plastikowe piórniki, jakich nikt w jej klasie jeszcze nie widział. Matka pracowała w kołchozie, przynosiła mleko i „kartoszki” – ziemniaki – tego w domu nie brakowało, ale lepsze rzeczy się jadło dopiero od lipca, kiedy on pojawiał się z grupą studentów. Od lipca do końca września mama nie płakała. Henryk wynajmował po sąsiedzku pokój i wieczory spędzali razem. Jak wracał z tych wykopalisk, był zakurzony, brudny, spocony, bo słońce prażyło od świtu do zmierzchu. Na początku nie rozumiała, dlaczego dzieci wołają za nią „bękart” i „ty Polaczka”. Potem płakała razem z matką – ale tylko od października do czerwca. Zawsze mówił, żeby nie płakać, bo wypłacze te piękne, duże, szafirowe oczy. No, ale teraz nie może powstrzymać łez, które ciekną po policzkach...

– Pani widzi, pani doktor: ona udaje, że płacze, jaka to bezczelna oszustka... Płakać to można po młodym mężu, ale nie po starcu. A w duszy cieszy się majątkiem, jaki jej zostawił. Takie one wszystkie, te zza wschodniej granicy. Aktorki, że hej!!

Liście pod stopami są śliskie i coraz bardziej mokre od topniejących płatków pierwszego w tym roku śniegu. Tam u nich zima była prawdziwa: śnieg sypał od października, mróz nie odpuszczał ani na jeden dzień. Taką jesienną, mokrą zimę pierwszy raz zobaczyła w Krakowie. Po śmierci matki została sama. Henryk ściągnął ją na studia do Polski. Mieszkała w akademiku, Henryka nie mogła odwiedzać w domu, bo „lepiej nie denerwować żony” – mówił. Czasem zapraszał ją na obiad do „Chłopskiego Jadła”, żeby poznała polską tradycyjną kuchnię. Kiedyś w dużej, hotelowej kawiarni kelner, przyjmując zamówienie, ściszym głosem powiedział do Henryka: prostytutki mamy tu swoje, proszę obcych nie przyprowadzać. Choć mówiła już wtedy dobrze po polsku, to akcent rosyjski pozostał.

Imprezki w akademiku. Nie lubiła być sama wieczorami, więc chętnie w nich uczestniczyła, choć różnie bywało. Zwykle dziewczyny mówiły o niej „uralska piękność”, a chłopcy nie odstępowali na krok. Z lękiem słuchała Marka, który pod koniec spotkania zapytał: to idziesz dziś do mnie czy do Łukasza, bo wlepie w ciebie oczy przez cały wieczór. Zmieszała się, nie wiedziała, jak zareagować. – No co ty, Marek, przecież parę godzin temu się poznaliśmy, nie wyglupiaj się – wydusiła w końcu z siebie. – A coś ty taka cnotka – głośno, żeby wszyscy słyszeli, odparł Marek – ja myślałem, że wy wszystkie Ruskie, Ukrainki i Gruzinki to macie w genach, że zawsze i z każdym... Tirówki przy drogach to przecież Ruskie...

Była na czwartym roku studiów, gdy nagle zmarła żona Henryka. Rozległy zawał. Teraz patrzy na tabliczkę nagrobną: Elżbieta i Henryk M. – Znowu będą razem – myśli.

– Pani wie, pani doktor, że ona chyba miesiąc po śmierci jego prawowitej małżonki wprowadziła się do niego?! Trzeba mieć tupet! Na początku nikt nie wiedział, profesor się nie chwalił przecież. Ale wysłałam do niego mojego studenta, żeby odniósł pożyczoną książkę. No i dyskretnie wypytałam: kto drzwi otworzył, a jak wyglądała ta pani. A student niczego nie podejrzewając, wyśpiewał wszystko jak na spowiedzi. No i za tydzień cały wydział huczał! Profesor zrezygnował z pracy, bo pewnie tego nie wytrzymał. A zresztą, podobno już zaczął chorować. Oczywiście się nie przyznałam, że się wszystkiego domyślałam. Nawet kiedyś w rozmowie zagadnęłam: – A dużo pan profesor płaci tej służącej, bo mówią, że Rosjanki to niewiele biorą, a dokładne są w sprzątaniu i dobrze gotują. – Oj, pani docent – westchnęła młoda doktor – żeby taką willę odziedziczyć, to niejedna by za darmo sprzątała, prała i jeszcze, no wie pani, w nocy by się starała...

Rektor przemawia: że był chlubą uczelni, że jego osiągnięcia na trwałe na kartach historii... że archeologia poniosła niepowetowaną stratę... Potem inni przemawiali, ale nie mogła się skupić. Nie rozumiała słów. Po przeciwnej stronie cmentarnej alejki spostrzegła figurkę aniołka. Była pewna, że aniołek się uśmiecha, że patrzy na nią... Ka-

mienny aniołek, klęczący na jednym kolanie z małymi skrzydełkami, zdobiący pewnie grób jakiegoś dziecka. Kędzierzawe włosy aniołka przyprószył śnieg. Padał coraz gęstszy, coraz większe płatki osiadały na nagrobnych płytach, a na głowie uśmiechniętego aniołka tworzyła się biała, śnieżna czapka. Tak jasno i promiennie uśmiechał się do niej tylko Henryk.

Henryk bardzo się ucieszył, kiedy na ostatnim roku studiów powiedziała mu, że ma chłopaka. Marcin też kończył medycynę. Chodził w długim czarnym płaszczu i kapeluszu z wielkim rondem, zabierał ją na koncerty do filharmonii albo do klubów, by posłuchać jazzu. – To ekscentryk, dziwak jakiś – mówiły koleżanki z akademika – ty Masza go zostaw, nic z tego nie będzie. On się spotyka z tobą tylko dlatego, że jesteś inna, inna – bez obrazy – w sensie „Ruska”. Masza nie miała żalu, bo do tej „Ruskiej” już przywykła, ale nie wierzyła ani przez moment koleżankom, jeśli chodziło o Marcina. Przecież obydwójce bardzo się kochali! Któregoś dnia zobaczyła Marcina spacerującego z czarnoskórą dziewczyną. Trzymali się za ręce... Masza z płaczem przybiegła do akademika. – To Senegalka z architektury – chórem stwierdziły koleżanki – no, co się dziwisz, ona jest bardziej egzotyczna niż ty! Przecież cię ostrzegaliśmy!

Ta straszna wiadomość spadła na nią po obronie pracy. Henryk miał białaczkę. Z tygodnia na tydzień czuł się gorzej, nie było żadnej nadziei. Lekarze mówili: trzy, cztery miesiące. Był ciepły, sierpniowy wieczór. Henryk poprosił, by poszła z nim do parku. Nie miał siły spacerować, siedli na ławce. Tak cię nie mogę zostawić – nagle prawie krzyknął – nie masz obywatelstwa, każą ci wracać, a nie masz do czego i do kogo. W papierach masz: ojciec nieznany. Boga oszukiwać nie będę, ale cywilny cię uratuje. Pierwszy wolny termin, piątkowy poranek. Ona w kostiumie z obrony, przypadkowi świadkowie. Ale wszystko poszło po myśli Henryka. Zdążył jeszcze załatwić jej pozwolenie na pracę, a tydzień temu dostała polskie obywatelstwo. Tylko jednego nie może sobie wybaczyć: że nie kupiła na ten ślub zielonej sukienki.

Uroczystość dobiegała końca. Podchodzili ludzie, podawali rękę i mówili coś o współczuciu. Starsza docent ze zboląłą miną wyrecytowała: – Ach, jakież to był wspaniały człowiek, pozostanie na zawsze w naszej pamięci, proszę przyjąć wyrazy, ach, jak pani współczujemy... A dwa kroki za nią już czekała, także prawie ze łzami w oczach, młoda doktor...





Jadwiga Goraj

III miejsce w konkursie

Za przemyślaną kompozycję opowiadania, nieoczywiste zakończenie, zbudowanie nastroju, utrzymanie napięcia od pierwszego do ostatniego słowa, a także interpretacyjne otwarcie i szczególny rodzaj odwagi w formułowaniu myśli.

Zwyczajne królowanie

W autokarze było całkiem cicho. Chłopcy trochę w nocy rozrabiali i ostre poranne słońce nie mogło ich teraz obudzić. Spała też Ela. To jej zawdzięcza, że zdecydowała się na ten wyjazd. Nawet nie taki drogi. Z racji że to obóz nauczycieli i uczniów, szkoła go dofinansowała. Będą mieszkać na campingu, blisko plaży. I oto jedzie i uświadamia sobie, że dawne przeżycia nie zakłócają spotkania z tym pejzażem. Teraz jakby specjalnie dla niej stawał się on realnością. Narastał wraz z wyłanianiem się z tuneli, dozując na mgnienie urodę zatok, łagodnie schodzących do morza Alp Nadmorskich, nasycił się barwami oleandrów, zapachami pinii i lawendy. Wreszcie po minięciu Cannes i zjechaniu z autostrady odsłonił się w pełni.

Poczuła się jak wtedy, gdy wchodziła na górską halę i ogarniała zasłużony po męczącej wspinaczce cały cud piękna. Wspomnienia o Marku, ich historia była jakby dawno obejrzanym melodramatycznym filmem. Chyba za mało się znali. Taka znajomość odświeżona, na odległość. Rzadkie spotkania połączone z bywaniem na koncertach, wystawach, romantyczne listy, przekonanie, że ich związek jest inny niż wszystkie. A potem była wynajęta klitka, przyjazd na świat Zosi, jej dziecięce choroby, codzienność jak po grudzie lat 70-tych. Krótka radość z otrzymanego M-4. Matka Marka niby potrzebująca opieki, a tak dominująca i ingerująca we wszystko. Jego egocentryzm, ucieczki w iluzje albo choroby, wyolbrzymianie problemów. Pretensje do otoczenia, a przede wszystkim do niej, że nie rozumie go jako artysty. W końcu wyjazd i pozostanie we Francji.

Spotkali się po dwóch latach, bo zaprosił ją za pośrednictwem znajomego Francuza. Myślała, że te okupione wielomiesięcznymi staraniami o paszport wakacje będą szansą, by zacząć wszystko od nowa, bez złudzeń. Tymczasem on przeżywał jakąś „nieznośną lekkość bytu”. I te pierwsze, i następne wakacje pamiętała jako pościg za wrażeniami, zaliczanie modnych miejsc. Oczekiwał zachwyty, wdzięczności, pomijał pytania o przyszłość. I ta huśtawka nastrojów – od wizji wielkiej kariery po stany depresji. Nie potrafiła się cieszyć. Piękne pejzaże odbierała jak dekoracje niedopasowane do treści. Odmówiła kolejnego przyjazdu, napisała, żeby przemyślał, co z nimi dalej. Zamiast tego były oskarżenia o niewdzięczność, posądzenia o zdradę, wieloletnie milczenie. Finałem stał się rozwód.

I tak przetoczyło się wiele lat. Przeważnie trudnych. Praca, dom, stan wojenny, kłopoty z dorastającą w tym czasie Zosią, przemiany i wolność, wyjazd Zosi do Anglii za pracą. Mocno poobijana, miała poczucie, że ocalała jednak siebie, bo jest niezależna, potrafi się cieszyć, wzruszać, rozumie siebie i innych. W jednym ze swoich wierszy nazwała to „królowaniem”. O Marku wiedziała niewiele: że nie zrobił kariery, czasami przygotowuje scenografię dla sezonowych teatrzyków, maluje portrety na zamówienie przechodniów, mieszka u jakichś znajomych, opiekując się ich letnim domem w Nicei. Znała tylko jego adres na *poste restante*.

Autokar powoli się budził. Ela, jeszcze zaspana, zaczęła kopać w plecaku i wyjęła termos z kawą.
– Dobrze nam zrobi. No, przejrzałam na oczy. Jak tu cudownie. A w filmach, to się wydaje, że wszystko jest podkolorowane.
– Ale fajowe plenery – chłopcy po swojemu wyrażali zachwyt i rozpoczęli pstrykanie zdjęć. Właśnie rano przechodził we wczesne przedpołudnie i pejzaż nabierał intensywności i blasku. Spoza wysokich trzciny można było dostrzec kempingi, a po drugiej stronie zaludniająca się plaża.

Minęli Frejus. – Hurra! już Saint Aygulf! – krzyknął któryś z chłopców, bo zauważył tablicę z nazwą. Rozciągało się ono wzdłuż wybrzeża, podzielonego kamiennymi cyplami na małe zatoczki. Ucieszyli się, że plaże są piaszczyste, a miejscowość niewielka i nie ma nic z modnego kurortu. Po rozpakowaniu się i odświeżeniu Anna i Ela razem z grupą wyruszyły na zwiedzanie. Pierwsze wrażenia potwierdziły się. To było typowe miasteczko prowansalskie z merostwem, skwerem przed nim, kościołem prawie naprzeciw, z małym placem rynkowym, właśnie sprzątanym po przedpołudniowym targu.

Nazajutrz przed pójściem na plażę, wybrały się na plac targowy po owoce. Odbывał się tam już prawdziwy spektakl. Sprzedawcy, wesoło nawołując, teatralnymi gestami zapraszali do stoisk. Cieszyło bogactwo kolorów. Przenikały się zapachy prowansalskich ziół, prażonych orzeszków i owoców morza.
– Jak na Kleparzu, tylko weselej i głośniejsz – zauważyła Ela. Zachęczone próbowały różnych smakołyków.
– Ale pycha te prażone orzeszki, a oliwki! Jaki świeży soczysto-gorzki smak – cieszyła się Ela.

W końcu wachając, jak to tutaj jest w zwyczaju, Anna wybrała melony i dorodnego ananasa, dumna potem, że okazały się wyśmienite. Mimo że torby z owocami ciążyły, obeszyły rynek dokoła. Po prawej stronie przed zakładem fotograficznym zobaczyły rozbawioną grupę, chyba Szwedów. Krępy fotograf akurat ustawił atrapę łuku triumfalnego i fotel – tron. Na wystawie kolorowe hasło głosiło, że każdy może zaznać królowania. Były też, a jakże, fotografie królowych i królów, nawet z koroną na głowie. Właśnie jeden ze Szwedów, już z koroną rozsiadł się na „tronie”, a kibicujący koledzy wręczyli mu butelkę, którą jak buławę podniósł do góry. Razem z pstryknięciem aparatu rozległy się śmiechy i brawa zebranych. Anna i Ela też przyłączyły się do nich.

Kolejnego dnia odbyła się wycieczka wzdłuż Lazurowego Wybrzeża. W Nicei, mijając na bulwarze nadmorskim siedzących przed sztalugami malarzy, Anna rozglądała się, czy nie zobaczy Marka. Pomyślała wtedy, że skoro są tak blisko, powinni się zobaczyć, by przy lampce wina zwieńczyć zgodą swoją już zamkniętą historię. Wysłała więc kartkę, proponując spotkanie za kilka dni w Saint Agyulf, na placu przed merostwem.

Wybrała się wcześniej, żeby zauważyć go, gdy będzie się zbliżał. Na skwerku na jedynej ławce w cieniu siedziała jakaś starsza para Francuzów. Spytała, czy może się dosiąść i zajmąwszy miejsce, udawała, że przegląda kolorowe foldery. O szóstej, jak podała w kartce, pojawił się mężczyzna, przypominający Marka sylwetką i ruchami, choć były one nerwowo wyostrome. Był bez koszuli, w wystrzępionych szortach i znoszonych tenisówkach. W jednej ręce miał reklamówkę, w drugiej butelkę z jakimś napojem. Nie mogła dobrze zobaczyć twarzy, gdyż spod czapki z daszkiem spadały mu na czoło włosy. Nie zgadzał się ich kolor. Były nie blond, a rude. Mężczyzna usiadł przed merostwem i co chwila to popijał z butelki, to oglądał się, jakby kogoś szukając. Nikt inny nie nadchodził. Siedząca obok para wstała i z uprzejmym – *Au revoir Madame* – odeszła. Na placu pozostali tylko ona i ten dziwny facet. Właśnie podniósł się i usiadł na oparciu, z nogami na ławce.

Postanowiła przyjrzeć mu się z bliska. Gdy przechodziła, popatrzył na nią wyzywająco, ironicznie. Twarz miał podobną, ale jakby ucharakteryzowaną na wyrostka. Wróciła na swoje miejsce. Wtedy on obejrzał się, zeskoczył z ławki, po czym oddalił się z błazeńskim gestem pożegnania. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy to stan jego „królowania”, czy jakiś niemądry *happening*. A może kartka nie dotarła albo nie chciał się z nią spotkać i ten kłoszard to zwykły przypadek. Minęło wpół do siódmej. Nie czuła zawodu. Kiedy znalazła się obok jeszcze otwartego zakładu fotograficznego, zdecydowała: Też zrobię sobie zdjęcie na „tronie”. I będzie jak w wierszu „Królowanie”:

Ja Anna
Królowa Anna
Siedzę jak ruska baba drewniana
Naczipirzona wiedzą dobrego i złego
Z koroną z złotych liści jesiennych
Na oprószonej srebrem głowie.

Przedemną korowód
Moich wcześniejszych postaci
Co hołd mi królewski składają:
Anusia co oczu prawie udźwignąć nie może
Aneczka ze spuszczoną z nieśmiałości głową
Anka w którą bies jakiś wstąpił
Ania co umie być mimozą i osą
Ana dumna bo hojnie smagana przez życie.
Z uśmiechem pobłażliwym
Przed każdą uchylam korony.

Epilog: w domu w skrzynce pocztowej Anna znalazła kartkę od Marka – z Krakowa. Pisał, że był w Polsce i żałuje, że jej nie zastał. Tylko, czy te drobne litery to jego pismo?



Barbara Kozubek-Marczyk

Wyróżnienie w konkursie

Z podniesionym czołem

Od dawna nurtowała mnie chęć, aby opowiedzieć o uczuciach, które zwykle wydają się być stworzone na użytek romansów, a obecnie zdają się być towarem nieatrakcyjnym. Jednym słowem chciałam o moich Rodzicach słów kilka. Dla mnie i mojego rodzeństwa pozostają wyjątkowymi postaciami, niedościgłym wzorem. Dzięki nim przysłowiowa szklanka wody jest zawsze dla nas do połowy pełna, a nie w połowie pusta. Rodzice nie mieli natury wodzowskiej, nie można im przypisać spektakularnych akcji z okresu II wojny ani epoki komunizmu, nie mieli okazji ratować życia na stole operacyjnym, czy za sterami samolotu odpowiadać za życie setek ludzi, a jednak dzień po dniu pokazywali, jak się nie bać, nie zginać karku, nie sprzeniewierzać zasadom i wzajemnie kochać.

Niełatwo z codzienności wyłuskać bohaterstwo, jego atrybutem jest wyjątkowe zachowanie, ratujące drugiemu życie z narażeniem własnego. Można z wody wyciągnąć tonącego, ale można też dzięki miłości dać siłę, by niezależnie od trudnej sytuacji chcieć obudzić się następnego dnia. Można wyciągnąć dziecko z płonącego domu, ale można niezależnie od własnych problemów być otwartym na jego sprawy, stworzyć w domu azyl bez przekleństw, alkoholu i kłótni, dom, w którym zawsze jest się oczekiwanym i wysłuchanym. Moim rodzicom udało się wyczarować takie miejsce. Było przystanią i przyjazną tratwą, która zbierała na pokład wiele osób, ładowała im akumulatory. Każde z pięciorga dzieci przyprowadzało swoich przyjaciół, którzy często wracali pewni, że w tym domu zawsze zostaną dobrze przyjęci.

Mój ojciec był pacyfistą, mama mówiła romantyk, ale w roku 1939 był w wieku poborowym i jako chorąży znalazł się w artylerii. Los rzucił go w wir największej bitwy września, walczył nad Bzurą. Tam, ciężko ranny kapral, powierzył mu swoją obrączkę, którą miał przekazać jego żonie. Jakim cudem przywiózł ją do Polski po latach niewoli – tego

już nie opowiem, a przecież wiem, że głodował i można było ją nie raz zamienić na bochenek chleba. Piszę o tym, bo ta obrączka to przykład, jak ważne w naszym domu było dotrzymanie słowa. O przeżyciach wojennych rodzice nie mówili zbyt dużo, starali się nie rozpamiętywać przeszłości, chociaż dbali bardzo o przekazanie prawdy historycznej, odebrali przecież bardzo dobre wykształcenie. Tato całe życie obiecywał, że na emeryturze opíše to, co przeżył w ciągu dramatycznych dni walki i pobytu w oflagu. Nie doczekaliśmy realizacji – zmarł w dniu zakończenia pracy zawodowej, a ja z ułamków zapamiętanych opowieści staram się zrekonstruować ten okres jego życia.

Moja mama miała dwadzieścia jeden lat, gdy wojna po miesiącu małżeństwa rozdzieliła ją z mężem. W letniej sukience, z małą walizką wakacyjnych rzeczy znalazła się w Krakowie, kilkaset kilometrów od domu, do którego nigdy nie miała wrócić. Kiedy już można było więcej opowiadać bez obawy, że ktoś w szkole czy przedszkolu będzie chciał donosem zarobić na lepsze stanowisko, dowiedzieliśmy się, że mama również na miarę swoich zobowiązań była aktywna całą wojnę. Miała kontaktową skrzynkę akowską w sklepie, który prowadziła, pracowała w Bratniaku, uczestniczyła w kompletach anglistyki na UJ.

Łaskawy los pozwolił jednemu i drugiemu przeżyć wojnę, ale połączenie się rozdzielonych na sześć lat młodych małżonków wymagało dużej determinacji. Młody akowiec, syn wysokiego urzędnika państwowego, jeniec oflagu był łakomym kąskiem dla urzędu bezpieczeństwa. Można nazwać te powroty aktem bohaterstwa, wtedy zagrożenie przesłaniała miłość do bliskich i tęsknota za krajem. Myślę, że wiele osób wyobrażało sobie powrót przedwojennych struktur społecznych. Wiemy, że tak się nie stało i nie jeden bohater stracił życie jako potencjalny wróg nowego systemu.

Pierwsza praca mojego ojca to kolejna wędrówka. Rodzice wyruszyli do Wrocławia, gdzie tata jako przedwojenny instruktor miał oficjalnie reaktywować lokalną YMCA'ę. Charyzmatyczny, ciepły i mądry był świetnym wychowawcą młodzieży, chłopaków, którym trzeba było posklejać życie pozbawione dzieciństwa. Razem z mamą stanowili dla wielu osieroconych zastępczą rodzinę. Ojciec miał świadomość ryzyka tak podjętego zobowiązania. Miałam niecałe dwa lata, gdy ubecy przychodzili do wrocławskiego domu i w dowcipny sposób straszili za moim pośrednictwem moją mamę: dziewczynko, jak nie będziesz spokojnie siedzieć, to ci tatusia do więzienia zabierzemy. Działalność YMCA'ci szybko została zakończona. Potraktowano ją jako agenturę amerykańskiego wywiadu. Znowu w drogę. Teraz już z dwójką małych dzieci, z kilkoma walizkami rodzice opuścili świeżo zagospodarowane mieszkanie, aby dalej od UB.

Z powrotem w Krakowie. Zamieszkaliśmy u ciotki mamy. Nasza czwórka, moja babcia i dziadek, który również ku chwale ojczyzny wrócił z Anglii. Podczas pisania tych słów widzę ze szczegółami pokój na Asnyka. Szczelnie wypełniony łóżkami, z wózkiem na wysokim piecu kaflowym i fotelami klubowymi spiętymi paskami, aby nie rozjechały się pod najmłodszą siostrą. Dla dziadka nie było miejsca w pokoju, spał w jadalnym holu z nogami pod stołem. W każdym z pomieszczeń wielopokoleniowa rodzina i jakby tego było mało, w najmniejszym umieszczono sublokatora. W tym „kołchozie” nigdy nie było kłótni, nigdy nie padał podniesiony głos. Małe dzieci często chorowały, wtedy ojciec nosił maleństwa nieraz całą noc, a rano do pracy, bez słowa skargi, że niewyspany. Mamusia przejmowała obowiązki

na cały dzień, bo utrzymanie powiększonej gromadki wymagało pracy na półtora etatu. Kolejne moszczenie gniazda na Siemiradzkiego, gdzie również „kołchoz”, ale dwa pokoje i duża wspólna kuchnia i odwiedzający znajomi, a zwłaszcza młodzież, która ciągnęła do naszego domu, do mamy, do jej mądrości, spokoju, gdzie dla każdego znalazł się kawałek chleba, herbata czy kubek mleka. W miarę jak zaczęłam wchodzić w dorosłe życie, nazywałam w duchu moją mamę świętą Anną, Opiekunką Codzienności.

Jak każde dziecko wysłuchiwałam wspomnień rodziców z okresu ich młodości, były dla mnie tak egzotyczne, ale nie przypominam sobie w tych opowiadaniach nienawiści, mimo że świat, w którym przyszło im żyć odbiegał od tego zabranego przez wojnę. Mama i tata zostali wychowani w środowisku, w którym obowiązywał *savoir vivre* i *bon ton*, przygotowano ich do zarządzania, a nie do wykonywania wszystkich prac potrzebnych do utrzymania domu. Wynieśli jednak ze swojej sfery wielkie poczucie godności i nikt się nie domyślał, że nie raz brakowało na bilet tramwajowy. Mama często powtarzała w obliczu braku finansów, że takie problemy są niczym wobec tego, że udało się jej spotkać z ojcem i wszyscy najbliżsi przeżyli wojnę. Miłość, którą rodzice do siebie żywili, przenikała całą rodzinę. Ojciec również przyciągał do siebie ludzi, miał wielkie poczucie humoru, często obmyślał kawały i najbardziej był rozbawiony, gdy zataczały krąg i wracały do niego powtórzone przez osobę nieświadomą, że jest ich autorem. Mamę podziwiałam za uśmiech, gdy ojciec przynosił dwudziestego ósmego pensję i mówił: „Nie martw się, starczy do pierwszego”, czyli na dwa dni.

Obydwoje byli wierzący, ale też z dystansem podchodzący do egzaltacji religijnej. Obydwoje uznali również, że zasady przynależności do PZPR klóć się z ich zasadami moralnymi i są sprzeczne z wyznawaną wiarą. Taka decyzja przekładała się na niemożność awansu zawodowego, a w konsekwencji poszukiwanie różnych form dodatkowego zarabiania, rezygnację z wielu dóbr materialnych. Myślę, że dzięki takim ludziom jak moi rodzice przenieśliśmy przez półwiecze komunizmu wiarę, że można w myśl łaćwińskiego przysłowia: „Kropla drąży kamień nie siłą, lecz ciągłym padaniem”, osiągnąć zamierzony cel i nie mieć poczucia zniewolenia. Za wiele gestów domagających się poszanowania wiary, przekazywania wiedzy innej niż oficjalnie uznanej, można było zapłacić więzieniem. Szczęśliwie w najbliższym otoczeniu udało się tego uniknąć. Rekompensatą wieloletniego ryzyka i wyrzeczeń natury materialnej niech będzie to, że możemy następnym pokoleniom przekazać drzewo genealogiczne, które składa się z wielu liści o barwie bohaterów codzienności.





Anna Marek

Wyróżnienie w konkursie

Zwyczajna codzienność

Wstała niewyspana, machinalnie włączyła radio. Spiker czytał komunikat o ogłoszonym konkursie radiowym na opowiadanie, którego tematem mieli być bohaterowie codzienności. Parsknęła śmiechem. Wyobrażenia podsunęła jej obraz galopujących topornych postaci, żniwiarki i robotnika ściganych przez mocarnego górnika, to wszystko w slapstickowym tempie starego kina. Czyżby nasze zwyczajne życie znowu dopominało się o herosów? Czy znowu place i skwery miały zaludnić się pomnikami tych niezłomnych, pierwszych w pracy, odważnych w boju i heroicznych w bólu, nawołujących nas ludzi, żebyśmy szarą codzienność przekuli w marmury? Na szczęście codzienność potrafi ośmieszyć i rozbroić tę pozę i jej koturnowość.

Bo czyż nie tak to się zdarzyło w czasach tryumfalnych pochodów pierwszomajowych w pierwszych latach po wojnie? Wtedy przez biedne i zaniedbane ryneczki małych miasteczek kroczyli obywatele ze szturmówkami, gimnastycznymi ćwiczeniami popisywała się młodzież, wszyscy defilowali przed skleconą z desek trybuną obitą purpurą. Za nimi wlokły się wiejskie furmanki z bohaterami zwyczajnego życia, wiozące dzieła pracy ich rąk, co piękniejsze okazy flory i fauny. Stamtąd też pewnie wziął się prosiaczek, który pojawił się na drodze wujka Ignaca lekko podpitego i wesolutkiego, wracającego z uroczystości. Ogłupiały z kwikiem kluczył pomiędzy ciężarówkami, a stojący na pakach junacy ze szturmówkami rechotali wesoło. Przerażony wujek Ignac ruszył za nim w pościg, w końcu udało mu się go dopaść i uwięzić na swoim czerwonym krawacie, bo tylko krawat lub pasek podtrzymujący spodnie miał do wyboru. Zadowolony z siebie posuwał się potem poboczem drogi z prosiaczkiem, pokrzykując wesoło do mijających go demonstrantów i dopiero jakaś litościwa ręka wciągnęła ich oboje do sadu pod cienistą jabłonkę. Całe szczęście, bo były to czasy, w których z wiary i jej emblematów nie żartowano nawet mimo woli.

Wracały do niej wspomnienia o najbliższych, tych którzy już dawno odeszli. Codziennosc dzielona z nimi dawała jej tyle radości i poczucia bezpieczeństwa, ale od nich wymagała ciężkiej pracy i wielu starań, zapobiegliwości. Myślała o swoim ojcu, wiejskim nauczycielu, zamkniętym przez całą długą wojnę w obozie koncentracyjnym, który potem pełen zapału rzucił się do pracy. Uczył, prowadził szkołę i chór dziecięcy, pracował w polu, w małym gospodarstwie dzierzawionym od gminy, miał pasiekę, a ule robił sam. Ale ona z tej codziennej krzątanimy przede wszystkim zapamiętała wspólne wieczorne podlewanie w ogrodzie krzaczków pomidorów, sałaty, młodej kapusty. Szli nad rzekę, on niósł wiadro, ona garnuszek. W zakolu wchodził w leniwy nurt ciemnej połyskliwej rzeki, zanurzał aż po kolana bieluteńkie łydki i nabierał nagrzaną słońcem wodę. Stała na brzegu i słuchała kumkania żab, a woda i wilgotna trawa pachniały. Do dzisiaj z tym zapachem przychodzi do niej wiosna.

Bohaterowie codzienności... to może właśnie on, pomyślała z przekorą, nielegalnie wędzący szynki i kiełbasy z naszej najpierw wykarmionej a potem – o zgrozo – zaslachtowanej świni. W czasach obowiązkowych dostaw żywca (jeżeli ktokolwiek dzisiaj wie, co to znaczy) to było ścigane przez władzę przestępstwo. Nocą, wśród krzaków bzu, za stodółką, w zrobionej własnoręcznie skrzyni rozwieszał na patykach poście wędzonki, pęta kiełbasy i szynki. Siedział potem, paląc papierosy, i czekał, aż będą gotowe. Za którymś razem skończyło się to wizytą milicjanta. Ktoś doniósł. Pamiętała szepty i porozumiewawcze spojrzenia rodziców. Milicjantem był jego uczeń i donos uleciał z dymem, a kiełbasy pachniały wiśniowym drzewem, miały lekko chrupiącą skórkę i były smakowite.

Mimo tych czułych dziecięcych wspomnień pamiętała, że były to czasy szare i smutne, karmiące się snami o tragicznej wojnie. Może dlatego wymyślono bohaterów codzienności, tamtym wojennym – na przekór. Opisywano zwyczajne ludzkie zmagania, z mniej czy bardziej dramatycznym losem, napuszonym i sztucznym językiem.

Ciekawa była, czy nazwano by nimi dwóch ubogich studentów Akademii Sztuk Pięknych, którzy – zanim rozpoczęli naukę w krakowskiej akademii – ruszyli na letnią wędrowną pieszo i bez pieniędzy. Dwukołowy wózek zapakowany ich dobytkiem, ale przede wszystkim blejtramami, płótnami i farbami ciągnął osiołek, Muffi. Malowali pejzaże, sypiali w stodółach, pracowali za nocleg i bardzo skromny posiłek, czasami głodowali. Po latach w ich wspomnieniach ta wędrownka obrosła legendą i stała się ulubioną bajką opowiadaną na dobranoc wnukowi jednego z nich.

A kto był bohaterem mojego dzieciństwa, pomyślała, nalewając wodę do czajnika, na poranną herbatę? Nie miała wątpliwości – to był ukochany kundel Kruczek i bezimienna koza. Oboje nagle zniknęli z jej życia, wielokrotnie oplakani, ale dopiero po latach poznała historię tych dramatycznych, choć zwyczajnych zdarzeń. Koza, ileż w niej wyzwała czułości, uczuć opiekuńczych! Z lekko przekrzywioną na bok głową, elegancko skubała trawkę, koniczynkę i młode, zielone pędy krzewów, z gracją stawiała swoje cienkie, wytworne nóżki i to rozdzierające serce meczenie. Niestety, porozumienie z nią było prawie niemożliwe – co innego z Kruczkiem. Był dużym czarno-białym kundlem z puszystym ogonem i wiecznie skołunioną sierścią. Karmiła go ukradkiem grubymi pajdami chleba z masłem, obficie polanymi śmietaną i posypanymi cukrem. Prawdziwy czaruś i zabijaka, ulubieniec szkolnych dzieci. Wesoły, witał

z entuzjazmem każdego, zawsze gotów do zabawy, miłośnik gry w dwa ognie na podwórku, które jak było trzeba spełniało rolę szkolnego boiska. Towarzysz wypraw nad rzekę i gminne błonia, gdzie pasły się wiejskie krowy. Jakież to było wyzwanie dla nich obojga! Czy o jego wyjątkowości nie świadczyło chociażby jego cudowne zmartwychwstanie? Kruczek, potrącony przez auto, padł martwy. Niesiony przez nią w żałobnym kondukcie koleżanek, nagle ożył i z radosnym szczekaniem zeskoczył z jej rąk na wiejską drogę.

No cóż – pomyślała – nie wiem, czy oni wszyscy przywołani przeze mnie z mojej pamięci mogliby być nazwani bohaterami codzienności. Czy można w ogóle być bohaterem codzienności, która jest naszą zwyczajnością? Woda już się zagotowała. Nasypała herbatę do porcelanowego czajniczka i otworzyła balkon. Do pokoju wdarł się gwar przedszkolaków, wybierających się na wycieczkę, ich śmiechy i płacz, nawoływania opiekunek, zaczął się następny dzień.





Jolanta Mirecka

Wyróżnienie w konkursie

Ja – bohaterka codzienna

Cześć kochana! Co u ciebie? Jesteś w domu? Telefon od mojej najlepszej przyjaciółki wyrwał mnie ze snu. Nie! Nie ma mnie! Nie ma i nie będzie! Wyjechałam! Nie żyję! wychrypiałam zaspanym głosem. To cudownie. Będę za jakieś pół godziny. Ratunku! Mam doła. Musisz mi pomóc, bo w łeb sobie strzelę. Zerwałam z nim zaszlochała. W normalnym związku trzeba czasami porozmawiać! A z nim? Tylko samochody, pieniądze, interesy! Głupoty jakieś! Rozumiesz... Po czym przerwała połączenie. Rozumiałam.

Powlokłam się do kuchni. Moja najlepsza przyjaciółka jest zawsze głodna, a kiedy ma tego swojego doła w zasadzie je cały czas. Odgrzałam wczorajszą zupę, odsmażyłam kartofelki, pokroiłam wiejską kielbasę, dołożyłam stoik ogórków konserwowych. Niech ma. Ze sprzątniem dałam sobie spokój – nie taki bałagan przeżyłyśmy razem. Wpadła jak burza.

...on o jednym a ja o drugim. Nie rozumie mnie! Nie rozumie! No to rzuciłam w końcu dziada! Głodna jestem! Masz może coś przypadkiem? Przypadkiem miałam. Moja najlepsza przyjaciółka popatrzyła z rozrzewnieniem na pachnącą czosnkiem kielbasę. Ech, pamiętasz tamtą kielbasę? Ale byliśmy wtedy dzielne. Prawdziwe bohaterki! A wracając do mojego byłego... Jasne, że pamiętam. Moja najlepsza przyjaciółka wyjadała palcami z patelni przypieczone kartofelki, zagryzała kielbasę i rozwodziła się nad przywarami byłego, a ja pogrążyłam się we wspomnieniach...

Ja i ona w czerwonym samochodzie, a w bagażniku on. Podjechałyśmy pod dom i kiedy w końcu udało nam się wytaskać jego bezwładne ciało z samochodu i zawlec do kuchni, miałam kompletnie dość. Nie ruszał się. Łypnął

tylko z wyrzutem przekrwionym okiem i milczą. Wytałam okrwawione ręce i przerażonym głosem wyszeptałam do mojej najlepszej przyjaciółki *Może chociaż urżniemy mu głowę? No nie mogę, kiedy tak gapi się na mnie.* Przyjaciółka wbiła w deskę dwa ostre jak brzytwa noże. *Nie gadaj! Rozbieraj go! Łeb utniemy mu potem.*

Szturchnęła mnie w bok.

No rusz się wreszcie. Wybieraj. Większy czy mniejszy? Żeby chociaż dała siekierę. Z dużo większym narzędziem zbrodni czułabym się zdecydowanie lepiej. Zdesperowana chwyciłam wielki, zakrzywiony majcher i niczym bogini zemsty czekałam na dalsze instrukcje. *Do roboty! Do roboty!* podśpiewywała moja najlepsza przyjaciółka. Ostrzyła ostry do granic możliwości nóż i spoglądała na mnie spod rudej grzywy. W oczach miała jakiś dziwny błysk. *Najpierw odetniemy mu nogi, a potem pobawimy się z resztą* zaszczała jak wąż, a mnie ciarki przeszły przez skórę. Powtórnie spojrzałam w martwe ślepie i stwierdziłam, że na trzeźwo za nic w świecie tego nie zrobię. A zrobić muszę. I to szybko. Upał taki. Zaraz zacznie się psuć. Wyciągnęłam z lodówki butelkę ginu i tonik. Nie żeby zaraz pić. Tak tylko. Profilaktycznie. Przeciwno malarii. Po drugiej szklaneczce poczułam, że mogę zaczynać.

Wbrew temu, co radziła moja najlepsza przyjaciółka, najpierw z ogromną satysfakcją odrąbałam mu ten wredny łeb. Łup! Głucho walnął o ziemię. Zawinęłam go w plastikowy worek i upchnęłam pod zlewozmywakiem. Wrażliwa jestem taka, delikatna. Nie mogłam znieść, jak patrzył z takim śmiertelnym wyrzutem. Po kolejnej szklaneczce. Zdrowie jest przecież najważniejsze. Malaria to śmiertelna choroba, poczułam jedność z nożem. Sprawnie odciąłam mu nogi i poklepałam z czułością po muskularnym ramieniu. Z boków śmiesznie sterczały kikuty odciętych kończyn. Miał zaskakująco aksamitną skórę. Ciekawe czy stosuje jakieś kremy? Głupio i bez sensu przemknęło mi przez głowę. Zgrabnie dobrałam się do schabu i poćwiartowałam resztę. Dolałam do szklaneczek. Wszak statystyki mówią, że na malarię mózgową umiera osiemdziesiąt procent chorych, a gin z tonikiem to takie skuteczne lekarstwo.

Uf! I po robocie. Mamy tę świnię z głowy. Z obrzydzeniem popatrzyłam na zdemolowaną kuchnię. Wszędzie stały miski napełnione czerwonym mięsem. Rozlałam resztki ginu do kryształowych szklaneczek. W koloniach Anglicy bez przerwy sączyli gin z tonikiem i dzięki temu nie chorowali, tylko czy dziś w toniku jest chinina? Poupychałam poćwiartowane zwłoki do lodówki i przystąpiłam do usuwania śladów zbrodni. Byłam z siebie dumna. Tego dnia byłam prawdziwym bohaterem! W końcu po raz pierwszy w życiu ćwiartowałam świniaka. No i w dodatku zapobiegłam malarii.

Następnego dnia przy nowej butelce ginu przystąpiliśmy do robienia kiełbasy i peklowania szynki. Na trzeźwo nie dałybyśmy rady babrać się w tym mięsiwie i jeszcze napełniać farszem – fuj! – jakiegoś jelita. Ale walcząc z malarią, a może nawet z cholerą, byliśmy zdolne do każdego bohaterskiego czynu. Tak. Pamiętam tamtą kiełbasę. Tamten smak, wędzenie, próbowanie...

...a w dodatku chrapie! Chrapie jak lokomotywa. Wyobrażasz sobie? Ja tu śnię o księżu z bajki, a on chrapie. Ordynarnie, wrednie chrapie! A pamiętasz... najlepsza przyjaciółka wyjadała łyżką zupę z gara jak uratowałaś nam życie rosołem? O czym to ja? A, no i tak co noc, chrapie, rzezi, sapie. Cały romantyzm diabli biorą... Wiedziałam, że do końca zupy będzie rozpamiętywać upojne noce z byłym, więc znowu pogrążyłam się we wspomnieniach o tym, jak za sprawą rosołu zastałam bohaterem dnia.

Długoterminowe prognozy pogody mówiły, że w najbliższym tygodniu będzie słońce i tylko słońce. Spakowaliśmy dzieci własne i cudze do samochodów i pojechaliśmy na biwak do buszu (mieszkaliśmy wtedy w Afryce Południowej). Pełna natura, dzicz, zero cywilizacji. Zostawiliśmy samochody na farmie i po całodziennym wędrowcu rozbiliśmy obóz. Siedząc przy ognisku, rozkoszowaliśmy się cudowną, afrykańską nocą. Bładym świtem wyruszyliśmy na wyprawę. Całe zapasy zostały w szczelnie zasznurowanym namiocie. Po przejściu jakiegoś kilometra moja najlepsza przyjaciółka zorientowała się, że zapomniała kapelusza. *Bo wiecie, ja bez kapelusza nie przetrwam, migreny dostanę, nos mi się opali, no i głupio tak jakoś będę wyglądać. Damą w końcu jestem, a to zobowiązuje* odwróciła się na pięcie i tyle ją widzieliśmy. Życie w buszu ma swoje prawa, toczy się zdecydowanie wolniej, więc bez słowa sprzeciwu położyliśmy się w cieniu akacji i oganiając się od much, zapadliśmy w letarg. Wróciła w „mgnieniu oka” i podjęła monolog w miejscu, w którym skończyła *bo wiecie, ten kapelusz kupiłam...* Nieśpiesznie wędrowaliśmy wzdłuż wąwozu. Dzieciaki jak to dzieciaki trochę marudziły, a to że gorąco, a to że daleko, ale generalnie kochały te włóczęgi. Kiedy porządnie głodni wracaliśmy do obozu, nagle powiało chłodem, zagrzmiało i skończyła się piękna pogoda. W ciągu kilkunastu minut rozpętała się nawałnica. Brnęliśmy w strugach deszczu i walczyliśmy z upiornym wiatrem. Dookoła waliły pioruny. Jednym słowem było kiepsko. W końcu dotarliśmy do obozowiska i zaniemówiliśmy z wrażenia.

O matko! krzyknęła moja najlepsza przyjaciółka, wyjmując z kieszeni kłódkę *nie zamknęłam namiotu z prowiantem!* Do naszych zapasów dobrały się małpy. Kłódka w buszu to podstawa. Jeszcze nie urodziła się taka małpa, która otworzy zapięte na kłódkę suwaki. Zjadły, zniszczyły, porozwłóczyły po buszu dosłownie wszystko. Resztę zniszczenia dokończyła ulewa. W moim, zamkniętym namiocie przetrwały suche śpiwory i jedna, jedyna kostka rosołowa. I tak ocalałam wyprawę przed śmiercią głodową. W błocie udało nam się odnaleźć butlę gazową i ronderek. Na zewnątrz szalała burza, było zimno, mokro, przerażająco. Opatuleni w śpiwory przez całą noc popijaliśmy gorącą deszczówkę z rozpuszczonym rosołkiem. Rano zmęczeni, niewyspani, ale żywi, powlekliśmy się do samochodów. Moja najlepsza przyjaciółka, brnąc po kostki w błocie szeptała *zbawczyni nasza! BOHATERKO! Tylko dzięki tobie żyjemy. Ten nocny rosołek był najcudowniejszym posiłkiem na świecie, nektar, małmazja, чудо...*

...ogóreczki, jak ja lubię ogóreczki. I wiesz, on nie lubi słodczy! Jak można gardzić czekoladą? Durny taki. A masz może coś słodkiego? Bo taka jakaś niedojedzona jestem. Wyjęłam z zamrażarki paczkę czekoladowych lodów. Sięgnęłam po miseczkę, ale dałam sobie z nią spokój, miałabym tylko więcej zmywania. *Lody mam, weź łyżkę z zupy* zaproponowałam. *O, czekoladowe* wyraziła nieklamany zachwyt przyjaciółka, przysuwając sobie litrowy pojemnik. *Uwielbiam. A on na deser tylko plasterek żółtego sera. No i jak ja mam z nim żyć kochana? Jak żyć? Ale trudno. Mam co mam. Zrobię*

dzisiaj na obiad szpinak z fetą dla niego, a dla siebie golonczkę z piwem. Jak ja lubię sobie z tobą porozmawiać. Ty masz taki dar przekonywania. Znowu ocaliłaś mnie przed zrobieniem jakiejś głupoty. No to pa, lecę. Muszę zdobyć świeży szpinak. Mrożonego nie jada. On zaraz wraca z pracy, a lubi, gdy na niego czekam z obiadem. Domator taki. Koteczek. Pieszczołek mój kochany. Pa kochana. Pa!

Wrzuciła puste opakowanie po lodach do śmieci i pobiegła do wrednego, kochanego, chrapiącego, czułego, byłego i obecnego od wielu lat męża. Zabrałam się do sprzątanía. Bez słowa, bez czynów, po raz kolejny uratowałam moją najlepszą przyjaciółkę. JA! BOHATERKA CODZIENNOŚCI!



Anna Nowińska

Wyróżnienie w konkursie

Madonny współczesne

Różne są Wasze imiona i z różnych pochodzicie miejscowości, zamężne i wolne, w różnym wieku, ale wszystkie gotowe na miłość pełną wyrzeczeń dla bezbronnych, złaknionych Waszych czułych serc i rąk.

Nie robicie kariery w korporacjach, nie szalejecie po nocach, czuwacie przy dziecku, karmiąc, przewijając, odgadując jego życzenia. Szaleństwem jest Wasza miłość, oddanie, dzielenie się sobą, ofiarowany czas, uśmiech, czułość i nieustanna czujność, by właściwie odczytać każdy gest i dźwięk.

Wasze dzieci nie pobiegą same po łąkach, nie wdrapią się na drzewo, niektóre nie powiedzą wiersza, nie polecą same samolotem. Waszym szczęściem jest każde kolejne słowo i każdy krok i uśmiech, który wynagradza nieprzespane noce, zmęczone ręce.

W Waszych rękach i uśmiechach jest dobroć tego świata.

1.

Lano,

matko najmłodszego syna, trzeciego z kolei, wyczekiwanego przez wszystkich domowników, czy kiedyś zwątpiałaś w sens swojej opieki nad dzieckiem, z którym nie mogłaś zamienić ni słowa?

Gdy go przywieziono ze szpitala, był sztywny, cichutki, nawet nie zapłakał. Sprawdzałaś jego oddech, śpiewałaś piosenki. Dla Ciebie był piękny. Nie patrzył, skupiony do wnętrza. Nóżki okładałaś ciepłą borowiną, rączki masowałaś, buzię wycierałaś, a jego tęczołki wchodziły pod górne powieki.

Drobna, miałaś tyle siły, by kąpać codziennie i patrzeć w te oczy nieodgadnione.

Stale się uśmiechałaś, łagodniałaś mówiąc „Leosiu”.

Nosiłaś na rękach tę miłość bezwładną, brałaś na kolano, by Twoje ciepło go uspakajało.
Kiedy pięć lat skończył, postawiłaś na wiotkich nóżkach, podtrzymując, by się nie złamały.
A kiedy sześć lat skończył, przesuwałaś stópki, by był jeden kroczek.
I było to pierwsze Wasze zwycięstwo.
Karmiłaś, przez dziesięć lat smoczkiem, zupką przecieraną z obawą, by się nie zachłysnął.
A kiedy pierwszy raz wymówił „ma” oszalałaś, bo tak było cudnie.
Każde małe słowo, mały kroczek, wyciągnięcie rączki to były Wasze ośmiotysięczniki.
Twój dzień i noc to karmienie, przewijanie, ubieranie i wiara, że się nie ulęknieś .
Prowadziłaś do świątyni, składałaś rączki do modlitwy o cud uzdrowienia. A on zawsze był taki cichy, wiotki, skupiony.
A Ty znów do domu wносиłaś siły i nadzieję, że może być jeszcze piękniej.
Było Ci tak lekko i jasno, kiedy zaczął z Tobą stawiać kroki na stu metrach na nóżkach icksowych. Z taką dumą prezentowałaś umiejętność syna.
Nie żałowałaś nigdy nieprzespanych nocy, oczu wypłakanych, rąk obolałych i czterdziestu schodów nagle wypiętrzonych, gdy przyszło wnieść na piętro znieruchomiałe ciepło.
Kiedy siedemnaście lat ukończył i serce stanęło, zapłakałaś, że nie możesz dalej nieść w ramionach bezwładnej miłości.
Przez siedemnaście lat ciemności-jasności nie wątpiłaś w sens swojej czułości, pamiętając słowa: „Choćbym kroczył ciemną doliną, to zła się nie ulękne, bo ty jesteś ze mną...”
Madonno Polska, żałowałaś tylko, że zbyt późno nauczyła się chodzić.
Z pomocą nie przyszła opieka społeczna, wolontariusze, zbyt małe zasiłki na pomoc obcą i nikt nie odwiedzał Twego syna, matko. To było przed laty i wiele się zmieniło. A kiedy wspominasz czas, który upłynął, czujesz dotyk delikatnej rączki, która w zaufaniu spoczywała w twojej silnej dłoni.
Poprawność i troska napotkanych stawiała niezrozumiałe pytania przed Tobą – czy nie możesz starać się o dom opieki i nie męczyć się?
Ty chciałaś być matką, odpowiadać za los swego syna. Matko boleści, obok której w pośpiechu przechodzili, nie dostrzegając Ciebie z wózkiem, jakbyś była przezroczysta.
Poznałaś co to miłość – miłosierna, nie ulękłaś się wyrzeczeń i odpowiedzialności za syna.
A inne matki mogły ci tylko zazdrościć męża oddanego, rozumiejącego sens Twojej miłości.
Inne nie miały takiego szczęścia.

2.

Wigo,

matko jedynaka Riasza, ile radości dzisiaj w twych oczach, gdy patrzysz na wyrosniętego, gdy zgrabnie na wózku omija przeszkody, jadąc do normalnej szkoły i prowadzi dysputy filozoficzne.

Kiedy zawyrokowano, że będzie bezradny, nie upadłaś, pielgrzymowałaś po lekarzach, psychologach, masażystach. Samotna, opuszczona przez męża, który nie zniósł nieprzespanych nocy, bolesnej gimnastyki, by puściły spastyczne kolana, stwardniałaś niepokonana, walcząc o godne życie swego syna.

Opieka obcego socjalnego państwa fundowała specjalne żłobki, przedszkola i szkoły, i zasiłki i mogłaś pracować w miejscach, gdzie i on przebywał.

Połączenie Twych sił i zorganizowane wsparcie opieki wzbudziło i rozwinęło jego umiejętności i nie było w tym żadnej łaski i litości.

Samotna nadal wnosisz go na plecach do domu i wkładasz do wanny, ćwicząc swe muskuły.

Wozisz, pokazując różnorodność świata. Jesteś z niego dumna, że czytany, zna tyle języków, że jest taki jasny i radosny, że lubi słońce w drodze i komputer.

A jak dostajesz dyplom prymusa ze szkoły, czujesz się dumna, że wykształcony i pokonał wszystkie przeszkody.

Twoje samotne nieprzespane noce, kiedy czuwałaś, bo był niespokojny – zapomniałaś. Obciążone plecy i ramiona bolą tylko chwilę.

A książeczki czytane, gdy budził się nocami – wreszcie miałaś czas, by się uspokoić.

Wkładając wózki do samochodu mówisz, iż musisz się naciągać, a nie lubisz biegać.

A marzenia wielkie, by mógł mieć skafander, który wzmocniłby jego słabe nogi i mógłby w nim fruwać i tańczyć.

A na ostatnim weselu roztańczył się rękami z kilkunastoma kuzynkami i nieznanymi gośćmi weselnymi i był taki szczęśliwy.

Cieszysz się zwycięstwem, jakie odnieśliście razem nad słabością ducha i ciała.

3.

Ilono,

najsamotniejsza ze wszystkich matek.

Matko Bartka, pragnęłaś być matką na przekór chorobom i przeciwnościom losu. Zakwestionowano Twe racje i kompetencje bycia matką, mówiąc, żeś za słaba.

Walczyłaś rok, by Ci go oddano. Odzyskałaś. On piękny, ale tak zamknięty, że musisz wnikać w jego światy najczulej, jak umiesz. Odpływy jego wychwytywać i skupiać na świetle. Tulisz, kiedy wznosi swe oczy ku górze i kiwa swą małą główką, jakby komunikował się z kimś niewidzialnym.

Wydeptałaś ścieżki do psychologów i neurologów. Kiedy zobaczyłaś, że taki milczący, zwróciłaś się do logopedów.

Kąpiesz i masujesz, rozluźniając usztywnione mięśnie i kolana.

Postawiłaś na nóżki, gdy dwa latka skończył i powiedział pierwsze „ma”, gdy miał dwa i pół roku.

Wszystkie jego dźwięki to śpiewy i najpiękniejsze piosenki.

Uczysz się być matką, najczulszą i odpowiedzialną. Możesz liczyć tylko na siebie, nie mając pomocy ojca Bartka i rodziny.

A opieka sprawdza Twoje kompetencje matki, więc kochasz, sprzątasz, myjesz, podajesz zabawki, deklamujesz wiersze i śpiewasz piosenki.

I pyta opieka o Twoje dochody, podstawowe kwalifikacje, by utrzymać dziecko.

Dotychczas żyłaś z renty, która się skończyła i z wynagrodzenia minimalnego za pracę chronioną, którą brałaś do domu i z alimentów aż dwieście pięćdziesiąt złotych.

A teraz gdy za porozumieniem odeszłaś z zakładu, stwierdziłaś, że nie otrzymasz już zasiłku. Nikt nie poinformował Cię o twych uprawnieniach, a Ty nie miałaś siły, by sprawdzić, że należy Ci się zasiłek na dziecko. Kilka lat pracowałaś w ZPCH – który chroni tylko siebie, nie dbając o szczególnie chronionych pracowników i nie masz już renty ni zasiłku, więc MOPS wielkodusznie przyznał Ci na posiłek sto osiemdziesiąt złotych miesięcznie. Cieszysz się, że tego aż tyle. Jakoś żyjesz, czekając na rentę, a kiedy odmówią w ZUS-ie, zarejestrujesz się w bezrobotniaku na zasiłek.

Mimo swych trudności myślisz jeszcze o innych, widząc ich problemy.

Ty jesteś matką prawdziwą dla syna i czułą na niedostatki innych dzieci.

Nie ma wokół Ciebie wolontariuszy, którzy mogliby odciążyć twoje umęczone ręce i głowę ciężką od problemów. Bezradna nie założyłaś fundacji.

Wychodziłaś dla dziecka wczesne wspomaganie, bo on dla Ciebie najważniejszy i nie będziesz dochodziła wyższych alimentów, bo ubliża Ci, że są nie z miłości.

Taka bohaterska i godna w swoich poczynaniach matki, masażystki, logopedy, zaopatrzeniowca, skąd czerpiesz swe siły?

Nie buntujesz się, łagodna przyjmujesz swą rolę matki dziecka, które potrzebuje twej ponadnormatywnej pracy.

Nigdy nie mówisz, że jesteś zmęczona, niewyspana, niedysponowana. Mówisz tylko, że nie mogłaś zawodowo wieczorem pracować, bo czas i siły zużyłaś na konsultacje lekarskie i spacer, by maluch miał więcej siły.

A liczyć możesz tylko na wspólnotę innych przyjaznych Ci matek.

Wierzysz, że nie jesteś sama i że jasna gwiazda czuwa ponad Wami.

Nadzieja w Tobie nie umarła.

O matki, stawiające dobro Waszych dzieci ponad pracę, karierę, zabawę – jakżeście bohaterskie w tym oddaniu siebie. Nie zasługujecie na pomnik, bo to tylko pozory, ale na wielorakie wsparcie podmiotowe a nie uznaniowe.



Anna Nozderka

I miejsce w konkursie

Za wnikliwość w zagłębieniu się w kobiecą psychikę, odnalezienie oryginalnej formy dla treści, lekkość języka, błyskotliwy, ironiczny charakter opowiadania, który jednocześnie w najgłębszym sensie niesie nadzieję.

Ostatnie słowo

Sąd zamyka posiedzenie, odracza rozprawę i wyznacza termin na dzień siedemnastego lutego...

Po nieprzespanej nocy przed ostatnią rozprawą Ewa wychodzi z nowym terminem. Trzydziestym trzecim. Przez dziesięć lat rozvodu z Januszem nauczyła się godzić z faktami. Zapłaciła za parking, więc nie zmarnuje tych pieniędzy. Zamiast narzekać, uśmiecha się do strażnika. Krew w niej zawrzała, gdy usłyszała bezczelny wniosek Janusza. Tym razem nie miał czasu! Był umówiony na spotkanie w banku! Miała ochotę trzasnąć w ten zakłamywany pysk, ale obiecała sobie kiedyś wyłączać emocje po wejściu na salę sądową. Pojęła logikę decyzji sądu, bo sędzia wyznaczyła nieodwołany termin za trzy dni. Nie w smak Januszowi, który wyleciał z sali wściekły, kłócąc się ze swoim adwokatem.

A Ewa, żeby odreagować swój stres zanurza się w kadzidlany klimat indyjskiego sklepu. Uzbierała tu już całkiem niezłą kolekcję orientalnych dodatków. – I komu to zawdzięczasz? – przewrotny dzwoneczek w jej głowie zawtórował powieszonym w wejściu wietrznym gongom. Gdyby Janusz nie był tak okropnym mężem, to z całą pewnością tkwiłaby przy nim do dziś w roli maltretowanej żony alkoholika. Uśmiecha się na myśl, jak jej przydeptana kobiecość odżyła i rozkwitła.

Od razu wpadło jej w oko błyszczące boalerko. W ciasnej przymierzalni z zadowoleniem ocenia swój wygląd i jednocześnie przysłuchuje się dyskusji przy ladzie. O czym mówią? Oczywiście, o rozwodach! Uchyła na moment kotarę

i widok togi z zieloną lamówką rozwiewa wszelkie wątpliwości. To pani adwokat, buszująca w stercie kolorowych szali, korzysta z przerwy między rozprawami. Ewa pokazuje się i jej bolerko budzi nieklamany zachwyty. Obie dostają upust cenowy od właścicielki w ramach babskiej sądowej solidarności.

Wiele się nauczyła od czasu, kiedy złożyła pozew. Poznała zasady obowiązujące na sali sądowej, funkcjonowanie sekretariatu, biblioteki i... pobliskich sklepów. Oswoiła się z rytuałem, a od kiedy zaczęła dostrzegać logikę toczących się procedur odkryła, sprzymierzeńców. A kiedyś było inaczej. Plan gmachu przy Alei Solidarności był dla niej tajemniczym labiryntem, w którym błądziła, płacząc numery z literami na kolejnych piętrach. Wtedy jeszcze kompletnie zdezorientowana biegała, zapędzając się w ślepe zaułki.

Teraz z bolerkiem w torbie wraca na parking, myśląc o wyznaczonym terminie. Ma już zaliczone różne daty: Dzień Nauczyciela, Barbórkę, Zdobycie Bastylia... Jej pierwszy termin wypadł czwartego lipca i ten amerykański dzień niepodległości dał jej nadzieję, która musiała wystarczyć na całe dziesięć lat. Hm, jeśli dotąd nic nie było siedemnastego lutego, to od teraz będzie, twardo postanawia, zatraskując drzwi auta! Wieczorem jednak dopadają ją lęki. Dobrze się stało z tym odroczeniem. Wchodząc dziś na salę, miała kompletną pustkę w głowie. Teraz ma trzy dni, żeby doprecyzować szczegóły. – I komu to zawdzięczasz? – uśmiecha się do siebie.

Od tygodni głowiła się, jak ma krótko opisać ich dwudziestoletnie małżeństwo. Ciągłe plątała nitki z wątkami, a to czyniło jej opowieść melodramatycznym wyrzutem zamiast rzeczową relacją. Próbowała uszeregować fakty chronologicznie, potem ustawiała problemy blokami, ale doszukanie się logicznych ciągów w chaosie u boku alkoholika przerastało jej możliwości. Dzisiejszy falstart, uświadomił jej, że cała koncepcja wymaga głębokiego przemyślenia. Leżąc w ciemności, Ewa przewraca się z boku na bok. Czuje, jak czerwone plamy wpełzają na jej szyję. Sen nie przychodzi, choć na zegarze prawie druga. Nagle pojawia się jasność: Nie będzie żadnego ściemniania! Cień Wielkiej Góry Męża Janusza musi zostać oświetlony!

Tyle razy widziała, jak w sądzie mądrzy ludzie tracą zdolność nazywania rzeczy po imieniu. Jak odruchowo powstrzymywali się od kolokwialnych sformułowań. „Był pod wpływem...”, „po spożyciu...”, „taki wczorajszy...”, „coś zaszkodziło...”, podczas gdy obiekt był kompletnie zalany. Potwierdzali dewizę Janusza: „Niech się wstydzi, ten kto widzi!” – powtarzał, gdy przekazywała mu ich skargi o hałasy. Zrozumiała, że źródłem jej siły może być moc słowa.

W sądzie są teczki. Wszystkie opatrzone sygnaturą stosownie do sądu, wydziału, daty i kolejności stron. Jedne niepozorne szczuplutkie i schludne zeszytowane zapomnieniem, inne opasłe i rozdęte nagromadzoną wiedzą i przykurzone czasem. W nich pracownicy pieczołowicie wszywali kolejno ponumerowane strony. Każdy element był przyszpilony igłą i naciągnięty sznurkiem. Ten zapis nie zawiera emocji, jest otarty z akcentu i z intonacji. Jest wyprany z obrazu i oddzielony od człowieka i sytuacji. Ewa wie, że musi jeszcze raz pochylić się nad trumną swojego małżeństwa. Postanawia rozprawić się z nim raz na zawsze.

Rano punkt po punkcie spisuje daty, imiona, nazwiska, nazwy ulic, miast. Bezlitośnie odziera wszystkie zdarzenia z najmniejszych elementów ocennych. Stopniowo gromadzi materiały na swoim placu budowy i zastanawia nad spoiwem potrzebnym do wzniesienia konstrukcji. Szuka esencji zdarzeń... Nagle poczuła, że znalazła: c z a s o w n i k i. Zaczęły napływać gorączkowo i runęły całą lawiną. Pił, ciskał, tłukł, wyzywał, przeklinał, zamykał, zabierał..., wyłaziły do wierzchu prosto z trzewi. Sikał, leżał, przewracał się, kopał, pluł, rzucał... to wszystko było udziałem jej wstydu. Groził, nękał, znęcał, szantażował, wyśmiewał, szydził... Rozpalona śmiałością wyrywała z serca i dopisywała coraz więcej. „I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi”¹ – szeptała w natchnieniu. Tego dnia definitywnie rozprawiła się z niemocą i fałszem słów niedobitnych.

Ostatni dzień wypełniło przygotowanie odpowiedniego stroju. Wiadomo, nie szata zdbi..., ale wspólne buszowanie z przyjaciółką po centrum handlowym było elementem koncentracji przed finałem. Kompetentna i zorganizowana obecność Kasi działała na nią kojąco. Ominęły kilometry recepcyjnej elegancji, żeby wreszcie wypatrzeć coś fajnego. Grafitowa, złamana brązem, połyskliwa czerń była kobieca, ale stosowna do powagi sądu. Jak to się stało, że z pozbawionej wolności i godności osoby, przeobraziła się w kobietę, którą widzi lustrze? Przeciera niewidoczne pyłki pod oczami. Uśmiecha się. Jest świadoma zmian, jakie zaszły w jej wyglądzie. Już nie ma ponurej, zięjącej rozpaczą twarzy. – Jestem tego warta! – rzuciła zaskoczonej przyjaciółce, z satysfakcją płacąc przy kasie niemały rachunek. – Boże, daj mi moc – modliła się wieczorem, patrząc jak jedwabne nitki szlachetnej tkaniny „munduru” przygotowanego na jutrzejszy finał lśniły w poświęcie księżycy niczym stal.

Punktualnie o trzynastej trzydzieści rozlega się:

Sprawa z powództwa Ewy.....

Stanęła pośrodku, czując całkowitą pustkę w głowie. O matko! Z całej siły zacisnęła w dłoni przygotowaną chusteczkę, desperacko usiłowała odnaleźć pierwsze słowa swojej mowy. Cisza przedłużała się. Bezradnie spojrzała w stronę sądu. Usłyszała proste pytania: imię, nazwisko, wiek, zawód... Ten automat pozwolił jej unormować oddech. Opanowała panikę. Poczuła, że odzyskuje grunt pod nogami; podniosła głowę i wyprostowała plecy. Krótkie zdania. Najważniejsze to trzymać się czasowników! Zamiast: mąż żartował – mówi głośno: szydził, drwił, lekceważył, wyśmiewał, straszył, groził, szantażował, narażał... Czuje dreszcz strachu i odruchowo rozciera pamięć na przedramionach. Nie patrzy na niego, ale napięcie liże ją po karku. Na szczęście, tu Janusz nie może wepchnąć prawdy z powrotem do gardła. Mąż pił. Kropka. Mąż zdradzał. Kropka. Mąż...

Tu nie ma miejsca na niedomówienia. Sędzia od czasu do czasu dopytuje o szczegóły i wtedy jako dookreślenia pojawiają się przymiotniki. Jaki? Głośny, chamski, wulgarny, obsceniczny, agresywny, obojętny... Atmosfera powagi

¹ Ew. Jana 8;32 [w:] *Biblia*, Towarzystwo Biblijne w Polsce, Warszawa 1998

sprzyja starannemu doborowi rzetelnych określeń. – Tak, to wszystko – potwierdza, chociaż wie, że to nie koniec. Po długim zamaszystym wstępie, z którego niewiele zrozumiała, adwokat Janusza zaatakował: – Dlaczego nie zdecydowała się pani odejść wcześniej?! I jak pani w ogóle mogła dopuścić do takich zachowań męża?

Że niby dlaczego tak długo walczyła? Dlaczego nie wiedziała, że to beznadziejna sprawa? No właśnie... – Dlaczego tak długo? – powtórzyła pytając. – Odpowiem, Wysoki Sądzie. Trwałam, bo miałam nadzieję. Zrezygnowałam, bo straciłam nadzieję. Teraz on: – Żona była nierodzinna, a ja lubię życie towarzyskie... Ewa nawet nie próbuje nadążyć za tym chaosem. Czuje, że ugrzeczniiony ton Janusza brzmiał fałszywą nutą nie tylko dla niej.

– Atmosfery rodzinnej nie było, a wiadomo, za atmosferę w domu odpowiada kobieta!

– Zdradzał pan żonę? – sędzia pyta konkretnie.

– Tak jakby, nie do końca, niezupełnie, trudno to określić – lawiruje zamiast odpowiadać. – Ale przecież wina zawsze leży po obydwu stronach...

Ewa siedzi spokojnie, patrząc, jak się pograża.

Sąd orzeka rozwód związku małżeńskiego z wyłącznej winy męża. W uzasadnieniu wyroku podaje, że nie dopatruje się winy w tym, że ktoś nie umiał przeciwstawić się nagannym zachowaniom innych osób.

Tych kilka słów rekompensuje jej dwadzieścia lat pozbawionych godności. Dziesięciu lat bezpardonowej walki. Jest zadośćuczynieniem braku przeproszam. Wieczorem, w pustym Iluzjonie, zatopiona w głębokim fotelu oglądała ostatnią scenę *Zorby*, w której tańczący Grek śmiał się, wołając na całe gardło: – Jaka piękna katastrofa! Nagle poczuła płynącą do niej energię radości życia. Nogi poruszyły się w rytm muzyki. Wyszła z kina gotowa na spotkanie nowego.



Anna Okrzesik

Wyróżnienie w konkursie

Pieski los

Mówiłam wam o mojej ciotce, czy może kuzynce, w każdym razie średnio dalekiej krewnej, której życie jest doskonałym, nawet bez dokonywania przeróbek, materiałem na film albo książkę? Tym razem historia nie będzie o Ewie Lang, mimo że śmiało można by było przyznać jej medal za wszystko, co robi. Za to, że będąc bardzo chora i po siedemdziesiątce prowadzi cztery hodowle psów myśliwskich, za to, że o czwartej rano wyjeżdża do lasu, gdzie tresuje szczenięta do polowań, za to, że prowadzi hotel dla dobrze urodzonych i schronisko dla tych, którzy mieli mniej szczęścia, za to, że robi to wszystko sama, będąc – dla tej sporej przecież czeredki – panią, mamą i sam Pan Bóg wie, co one tam sobie o niej jeszcze myślą i za kogo ją uważają.

Na przykład taka Sonia. Mała, czarna suczka, której daleko do jakiegokolwiek znanej i jeszcze nawet nie wynalezionnej rasy. Kundel to przy niej międzynarodowy *champion*. Po prostu brzydactwo. Któregoś dnia Ewa, która spędza w lesie dużą część dnia, napotkała ją przywiązaną sznurkiem do drzewa. Zapchlona, brudna i z bezmiarem smutku w zaropiałych oczach zabrała ze sobą do domu. Wykąpała, nakarmiła i nazwała Sonią. I wydawać by się mogło, że Sonia zamieszka z Ewą na zawsze. Nawet inne psy zaakceptowały tę brzydką, lecz wdzięczną przybłędę.

A rzecz się dzieła na Śląsku, w Bielanach. Pewnego razu, gdy ciotka wybierała się właśnie do Poznania na konkurs psów myśliwskich, gdzie miała sędziować, Sonia tak długo skamlała, prosiła, aż w końcu zmiękczyła serce Ewy i ta zabrała ją ze sobą. Na konkurs przybyło mnóstwo gości, gapiów i ogólnie szerokiej publiczności. Sonia została w aucie. Nagle, zupełnie niespodziewanie zaczęła w nim szaleć, jakby dostała jakiegoś amoku. Rzucała się, skakała i ujadła tak głośno, że Ewa pobiegła do auta sprawdzić, co się tam dzieje. Kiedy tylko otworzyła drzwi samochodu,

Sonia wyskoczyła jak z procy, biegnąc wprost do pary młodych ludzi, stojących na poboczu drogi. Podskakując i piszcząc, radośnie się z nimi witała. Witała?

Cóż, nietrudno było zgadnąć, że zna ich doskonale i właśnie odnalazła swoich ukochanych właścicieli. Początkowo zareagowali dziwnie. Wysztywniło ich i wyglądali, jakby wrosli w ziemię. Po chwili jednak, nie mogąc dłużej udawać, że się nie znają, zaczęli nieśmiało się z nią witać. I oczywiście tłumaczyć się, mówiąc jedno przez drugie, że się zgubiła, że szukali i że tęsknili okropnie. A tak właściwie, to ona ma na imię Lula. Ciotka na Śląsk wróciła więc bez Luli. Na pamiątkę tylko sznurek po niej został. Mijały dni i tygodnie. Któregoś razu, późnym wieczorem, gdy kładła się już spać, usłyszała ciche skomlenie przy furtce. Zabrała latarkę i wyszła na dwór. Przy bramce leżało małe, włochate „siedem nieszczęść”. Brudna i wychudzona, z naderwanym uchem Sonia. Wracała dwa tygodnie. Do domu. Bo to był dom Soni, nie Luli.

Albo Norek. Cóż, urodził się bez kokardki na głowie i brylancikowej obróżki. Ktoś musiał być bardzo niezadowolony, że w ogóle się urodził, bo cały miot żyjących jeszcze szczeniąt zakopał do dołu w lesie. Ktoś inny, przechodząc, usłyszał ni to pisk, ni to skomlenie, dochodzące spod ziemi przy ścieżce. Rozgrzebał świeży jeszcze kopczyk, a pod nim jedyny z całej szóstki ruszający się i przerażony pyszczek malucha. No i nazwał go Norek. Ale chyba go nie lubił. Najpierw na kapce mleka, potem na rozmoczonym w wodzie chlebie Norek dojrzał do pracy. Gdy miał pół roku, został przywiązany za krótkim łańcuchem do budy, przy której miał spędzić resztę życia, pilnując obejścia gospodarza – wybawcy. No i pilnował.

Kiedy miał nieco ponad rok i którejś nocy od ognia z wypalanych traw zajęła się stodoła, Norek zerwał się ze zbyt krótkiego łańcucha i dotąd szczekał i drapał w drzwi gospodarza, aż ten, zbudzony ze snu i wściekły, wyskoczył z kijem na podwórko i tak długo okładał nim Norka, że w kilku miejscach połamał mu tylne nogi. Później zauważył ogień. Stodołę ugaszono, ale kulawego psa, co powłóczył nogami już nikt nie chciał. Cóż, we wsi mieszkała „psia mama”. No to go do niej zawieźli. I Norek, choć dziś już sędziwy kaleka, odnalazł u Ewy swoje psie szczęście. Kuśtyka za nią po podwórku, na krok nie odstępując.

I tak dzień po dniu, rok po roku życie w Bielanach toczy swoje kamyczki i głązy, najczęściej pod górę. Codziennie od nowa ci mali i ta duża toczą swoją heroiczną walkę o następny dobry dzień. Będzie w nim znów dużo pracy, bólu i zmęczenia. Ale przecież będzie też dużo miłości.



Krystyna Pieniążek

III miejsce w konkursie

Za prostotę w pokazywaniu spraw złożonych, wrażliwość na szczegóły, który nasycy wiarygodnością świat przedstawiony, serdeczność dla człowieka, która nie ma nic wspólnego z sentymentalizmem.

Nauczyciele

Wytrwale udzielają wsparcia innym, siebie stawiając na dalszym planie.

Naturalni, niczego nie udający, czasem trochę dziwacznicy. Ich zdaniem, nie robią nic nadzwyczajnego; nawet zdziwiliby się, a niektórzy poczuli zażenowani, że mogą być postrzegani jako bohaterowie. Niczego od świata i ludzi nie oczekują, a jeśli już, to może miłości i sygnału, że inni mają się z nimi dobrze.

Na mojej liście są przynajmniej dwie Agnieszki – dawne i współczesne; przedsiębiorcze, rozważne, ale radosne Karoliny; pęczek rzetelnych, nie stroniących od czarów i trudów życia Marii, Maryn, Mariol; niby różne, ale zawsze oddane rodzinom Barbary.

Karolina

„(...) tak każdy w swym życiu słońeczko swe ma / i dopóty żyje, póki ono trwa..”

Urodziła się w Małopolsce na początku XX wieku. Edukacja dziewczyny skończyła się na szkole pięcioklasowej, jednak bliskość i postawa „panienek ze dworu” pozwalała na korzystanie z ich domowej biblioteki. Karolina, w dzień zajęta obowiązkami, pożyczone książki czytała nocą, ukryta za firanką kuchennego stołu, paląc ukradkiem świecę.

Bywało, że szarym rankiem wpełzała do łóżka dzielonego z młodszą siostrą i starała się od niej ogrzać, co nie było przyjmowane przychylnie. Może wtedy nauczyła się, jak robić swoje; melodią jakiejś „mruczanki” łagodziła bowiem wiszący w powietrzu konflikt. W dorosłym życiu to śpiewanie melodii o uspokajającym rytmie było jej oryginalną bronią w chwilach, kiedy zanosilo się na kłótnię. Nie wypadało przecież sąsiadce wykrzykiwać pretensji, gdy rozbrzmiewała pieśń maryjna czy liryczna piosenka.

Karolina, „niosąca wino życia”²; drobna, piękna i zgrabna jak baletnica, od najwcześniejszych lat tryskała radością, energią, odwagą nabywania nowych umiejętności i poznawania ludzi. Uwielbiała taniec; nieraz potrafiła przetańczyć wieczór, bez skrzywienia na twarzy, z okaleczonym dużym palcem u nogi. Ten żywioł przekazała swojej średniej córce, ucząc ją kroków tanecznych. W dorosłym życiu podejmowała licznych gości, zawsze z uśmiechem, a po latach mimiczną zmarszczką jakby nieustającego zdziwienia nad lewym okiem; zawsze z kwiatami na stole i bodaj najskromniejszym poczęstunkiem. W lepszych czasach wystrojona w mięsistą, jedwabną suknię ozdobioną haftem i skórzane koturny na naturalnym korku, które mąż, zarobiwszy ekstra pieniądze, obstalował z dumą u szewca; w gorszych w suknie czarne, okazjonalnie przystrojone wykonywanymi przez siebie koronkowymi elementami, dodającymi jej urodzie hiszpańskiego kolorytu.

Za mąż wyszła późno, z piętnem starej panny, za bezrobotnego wtedy, uwielbiającego ją bez zastrzeżeń, przedsiębiorczego rówieśnika o pięknym głosie. Bolek był słabego zdrowia od czasu, gdy jako osiemnastolatek uciekł wprost ze szkoły na krótką, ale okrutną wojnę. Tę spędził w większości w okopach, deszczu i błocie bez odpowiedniego do warunków ubrania, i niestety, także okresami o głodzie. Strach przed okrucieństwem Ukraińców został mu na całe życie.

Po kilku latach nasza bohaterka była już matką trzech córek. Niczym nie manifestowana bezgraniczna miłość dawała jej w życiu siłę do pokonywania przeciwności losu. To głównie ona utrzymywała dom. Była niezawodna w wynajdowaniu sposobów na zapewnienie rodzinie, szczególnie w czasie niemieckiej okupacji, ciepła w zimie i jedzenia przez cały rok. Jeśli tego, co zdobyła i przygotowała, nie starczało do syta dla męża i córek, pytana, dlaczego nie siada z nimi do posiłku, zwykła odpowiadać, że już jadła – w kuchni. Nigdy się nie skarżyła; na jej twarzy od rana obecny był śmiech, gdy jednak coś ją sprowokowało, jego nikły ślad rozlewał się jak rzeka na całą twarz.

Karolina wolała naprawić szkodę wyrządzoną przez kogoś innego niż tłumaczyć, jak do tego doszło lub obwiniać kogoś. Pewnie dzięki temu trafiała na ludzi udzielających jej czasem wsparcia, za co płaciła swoim urzekającym uśmiechem. Troski i niepokoje zwykła była zaśpiewywać, stąd do dzisiaj słyszę jej „Zacznijcie wargi chwalić Pannę Świętą...”, rozedrgane żalem „Ludu mój ludu...”, skoczne „Zielony mosteczek ugina się...”, a wieczorami „W cichym śnie spocznij już ...”

² Zob. P. Le Rouzic, *Wpływ imienia na życie*, KEW, Warszawa 1990

Nasza bohaterka potrafiła zawsze stworzyć ciepłą atmosferę drobnymi gestami życzliwości. Miała intuicję, by rozróżnić ludzi uczciwych i nieuczciwych, ale głośno nie oceniała. Mogła tylko powiedzieć: „Lepiej trzymać się z daleka od ...”, albo: „Zastanów się, co z tego wyniknie”. Nie miała temperamentu wodza, nie podejmowała za nikogo decyzji, ale stwarzała sytuacje do samodzielnego wyboru, zwłaszcza dzieciom. Umiała jednak wywierać wpływ na ludzi, co można było zobaczyć w rzeczowych, pozornie chłodnych, ale pełnych wiary i nadziei radach, udzielanych sąsiadce po śmierci jej męża, czy w geście wsparcia dla najmłodszej siostry przy wypijaniu wspólnie, acz ukradkiem kieliszka nalewki benedyktyńskiej; w nikłym, ale nie pozbawionym szelmowstwa uśmiechu do kontrolującego ją okupacyjnego policjanta, kiedy to już zdołała ukryć niesioną „kontrabandę”. Ba, malownicza czarodziejka, machnąwszy rękawami swojego kimona w Japonki, przegoniła nawet barbarzyńskich ruskich żołnierzy z mojego snu, gdy przyszli brzytwą poderżnąć gardło ojcu.

Odeszła, tak cicho, jak żyła, gdy nikt już nie oczekiwał od niej wsparcia. To wspieranie innych miało siłę słońca i było też jej siłą; jak w sentymentalnej piosence, którą często śpiewała. Na jej grobie nie ma krzyża; ten, który stale towarzyszył jej życiu, noszony bez szemrania, spalił się chyba w gorącym, zawsze służącym innym sercu. Została po niej dobra pamięć licznych osób i zeszyt, który dostałam po pięćdziesięciu latach od córki jej przyjaciół i sąsiadów, gdzie wśród starych pieśni kościelnych na końcu zapisane zostały piosenki Pani Karoliny.

Profesor

Urodzony w rodzinie nauczycieli chwalebnie ukończył szkoły przed II wojną światową i w czasie okupacji studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie został doktorem praw. Miał wszystkie warunki, by robić karierę naukową. Znając w mowie i piśmie cztery języki, w wieku trzydziestu pięciu lat prowadził już za granicą obrady międzynarodowej organizacji. Ponieważ jednak nie mógł liczyć na dyplomatyczną karierę, jako drugi kierunek studiów wybrał niby nie upolitycznione nauki ekonomiczne. W tej dziedzinie równie szybko jak w pierwszej, dzięki swej pracowitości i dyscyplinie, uzyskał tytuł doktora. Jego wykłady z branżowej ekonomiki były żywym dowodem erudycji, kultury słowa oraz poczucia humoru.

Za granicą doceniano jego wiedzę, talent organizacyjny i takt, ale, jak to bywa w przypadku osób rzetelnych i nie wchodzących w układy, na jego drodze pojawiły się tajemnicze okoliczności i ludzie na wiele lat blokujący mu karierę. Mimo wszelkich przeszkód organizował kolejne zespoły ludzi, z którymi mógł pracować na zasadach partnerskich. Miał jedną zasadę: stawiać zadania zawsze nieco ponad możliwości, ale nie na tyle wysoko, by nie można było im sprostać.

Jego bohaterstwo polega na autentycznie etycznym życiu, szanowaniu siebie i innych – nawet wrogich sobie osób, na tyle, na ile na to zasługiwały. Również na rzetelnym i terminowym wykonywaniu obowiązków i umiejętności egzekwowania tych zasad u współpracowników, z całym poszanowaniem ich godności. Profesor nigdy nikogo nie

krytykował, ocenę zaczynał często od słów „w zasadzie dobrze, tylko warto rozważyć...” i tu padały cenne, szczegółowe uwagi. Był mistrzem konsensusu. Słuchał każdej ze stron, potem każdego chwalił za to, co dobrego wniósł do sprawy, na końcu ogłaszał wnioski i nie daj Boże, gdyby ktoś próbował intrygować lub negować wspólne ustalenia. Zimny jak stal wzrok sprowadzał oponenta do parteru – niezależnie od jego pozycji zawodowej i społecznej.

W sferze prywatnej życie miał trudne, cierpiał na chorobę bólową, o czym mało kto wiedział. Jako ojciec też doświadczył bólu, przeżył jedynego syna. O dramatach, które go dotykały w życiu prywatnym, nie wspominał, docierały do nas pośrednio. Oprócz swoich dzieci wychował i wykształcił też inne, po tragicznej śmierci ich rodziców. Nie dorobił się majątku mimo ogromnej wiedzy i nieprzeciętnej pracowitości.

Bardzo późno doczekał się profesury i honorów, myślę, że nigdy na miarę jego zasług w nauce oraz wobec bliźnich. Żył poza układami i uchodził – w powierzchownej ocenie – za człowieka, który „nikomu nie pomógł”. Może dlatego, że on nie dawał ryby, tylko wędkę oraz naprawdę nigdy się nie zdradził, co dla kogo zrobił.



Elżbieta Świerczyńska

I miejsce w konkursie

Za znakomity warsztat pisarski, utrzymanie napięcia od pierwszego do ostatniego słowa, przewrotność w widzeniu spraw oczywistych, przenikliwą diagnozę duszy mężczyzny i jego bliskich.

Nagroda Nobla

Stanisław czekał. Siedział wygodnie oparty o wysoki zagłówek starego skórzanego fotela. – Ten fotel ma tu stać do mojej śmierci – zapowiedział kategorycznie Lii, kiedy żona podsuwała mu katalogi coraz bardziej ekskluzywnych mebli gabinetowych. Wygięła wtedy usta w podkówkę jak dziecko, któremu nie pozwolono kupić upatrzonej zabawki. Właściwie była dzieckiem – dwadzieścia cztery lata. Była z nim, bo tak chciał. Chciał pokazać światu, że on – sześćdziesięciosiedmioletni fizyk odniósł sukces na każdym polu – naukowym, finansowym, erotycznym. Wzruszył ramionami: – Co tam Lia...

Czekał tu sam od popołudnia, kiedy dowiedział się, że Akademia jest bliska dokonania wyboru. Czekał na najważniejszy w swoim życiu telefon. Ze zdjęcia między srebrnym XIX-wiecznym kałamarzem, a antyczną lampą gazową spoglądał na niego może ośmioletni chłopczyk. Puszyste blond loczki kontrastowały z zaciśniętymi ustami i spojrzaniem starych oczu. Z tych odległych czasów nie zapamiętał kolegów szkolnych, nauczycieli, ulubionych zabawek. Zapamiętał za to matkę, jak nieznoszącym sprzeciwu głosem powtarzała:

– Stanisławie, znowu się bawisz! Nie trać czasu na zabawę. Ty, z twoim intelektem i możliwościami zostaniesz wielkim uczonym! Ja to wiem!

– Stanisławie, czy ćwoczyłeś na fortepianie, czy przerobiłeś następne debiuty szachowe? – pytała codziennie wieczorem.

Słyszał tego „Stanisława” prawie w każdym momencie życia, słyszał gryzącą ironię, niedowierzenie, zniecierpliwienie, słyszał gniew i zawód. Codziennie z zaciśniętymi zębami ćwiczył gamy i palcówki, rozwiązywał kolejne problemy szachowe. Z nosem przylepionym do szyby, kiedy nikt nie mógł tego zobaczyć, patrzył zachłannie, jak ten „beznadziejny” Markiewicz z „niedomytym” Pierzchałą szaleją na podwórkowej ślizgawce, a potem udawał, że ma to w nosie.

Na studia poszedł na fizykę teoretyczną. Dawała możliwość oderwania się od przyziemnych problemów, wiedzę zastrzeżoną dla wąskiego grona wtajemniczonych, a ponadto miała zaletę – wyrwał się spod władzy matki. Ona liczyła, że będzie tak jak zmarły ojciec matematykiem, że uzyska podobną pozycję na Uniwersytecie. Jej marzenia sięgały dalej.

– Stanisławie, powinieneś do czterdziestego piątego roku życia zostać profesorem, a potem...

Starał się nie słuchać, ogarniała go tłumiona głęboko furia. Ale nie umiał już uciec od nawyku pracy i potrzeby rywalizacji. Na studiach zainteresował się problemem samorzutnej dezintegracji neutronu. Jego prace wzbudziły duże zainteresowanie i bez trudu ułatwiły przyjęcie na staż w CERN-ie i rozpoczęcie studiów doktorskich. Uśmiechnął się do siebie, ależ to były czasy. Praca, która fascynowała go i zajmowała bez reszty. Powstawało wtedy nowatorskie urządzenie – akcelerator SPS, a on – młody fizyk z komunistycznej Polski był jednym z twórców projektu.

Nalał sobie ulubionego osiemnastoletniego Glenfidisha. To był trunek, który pił zawsze w szczególnych momentach. Przypominał nieistniejące od dawna „Piekiełko” w Zakopanem i pewien wieczór z Anią – jego pierwszą narzeczoną, jedyną kobietą przyjacielem, nie – jedynym przyjacielem... Znali się od zawsze, to znaczy od czasu, kiedy w czasie studiów postanowił dorabiać na „saksach” we Francji. Jeździli tam razem. Zawsze go wspierała, nigdy nic od niego nie chciała, kiedy nie mógł wytrzymać z matką, uciekał do Ani, a ona spokojnie tłumaczyła, wyjaśniała... To jej pierwszej opowiadał o sukcesach w tropieniu neutronów, kolejnych erotycznych podbojach i coraz bardziej luksusowych samochodach.

Siedzieli wtedy w „Piekiełku” i mocno wstawieni próbowali whisky z każdej butelki. Najbardziej smakowała im ta z zakurzonej butelki, stojącej na górnej półce. Jeszcze nigdy jej nikomu nie podawałam, powiedziała barmanka wspinając się po nią. I wtedy powiedział Ani o Agacie i dziecku, którego nigdy nie zobaczył. Powiedział też, że postanowił oddać matkę do domu opieki. Choroba Alzheimera rozwijała się, uniemożliwiając jej samodzielne mieszkanie, a przecież nie zabierze jej ze sobą do Szwajcarii. Słuchała, nie przerywając... Rano obudził się w hotelu sam.

Ania napisała w liście „Prawdopodobnie to twój intelekt i cele, jakie stawiasz przed sobą powodują, że nie chcesz się niepotrzebnie obciążać przyziemnymi sprawami. W pewnym sensie rozumiem to, ale nie akceptuję. Byłeś, jesteś

i będziesz dla mnie najważniejszy, ale ja dzisiaj podjęłam najważniejszą decyzję. Nigdy nie będzie w twoim życiu miejsca dla mnie równie ważnego, jakie ty zajmujesz w moim. Nie umiem i nie zgodzę się tak żyć”.

Ten gorzki list przez pewien czas zajmował myśli, powodował ból i wyrzuty sumienia, zmuszał do rozważania innych ewentualności, ale wszystko ma swój koniec. Przyjął optymalne dla siebie rozwiązanie i poczuł się wolny, bez żadnych zobowiązań. Skoncentrował się na pracy. Był jednym z twórców techniki stochastycznego chłodzenia, która pozwoliła przekształcić akcelerator SPS w zderzacz proton-antyproton. Świat i fizyka pędziły przed siebie z ogromną prędkością i Stanisław nie mógł trwonić czasu na nieistotne sprawy.

W sierpniu 1989 ruszył nowy akcelerator LEP i zmarła jego matka. Kazał sekretarce wysłać wieniec na pogrzeb, ponieważ jego obecność w laboratorium była niezbędna. Koło roku 1990, za pośrednictwem Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej, laboratorium zaczęło przyjmować na roczne stypendia młodych utalentowanych studentów fizyki. Pamiętała ich prawie wszystkich zachwyconych, że mogą uczestniczyć w pracach instytutu. Ale Marcin był szczególny. Szczupły, wręcz wychudzony, nieśmiały, niemal wycofany, ale kiedy pozwolono mu opowiadać o swoich badaniach, precyzyjnie i rzeczowo przekazywał wyniki doświadczeń i wnioski końcowe.

Ze względów bezpieczeństwa w laboratorium codziennie opisywano doświadczenia i notowano wyniki. Doświadczenia Marcina prowadzone w komorze pęcherzykowej dotyczyły cząstek rezonansowych, rozpadających się po kilku tzw. „sekundach cząstkowych”. Oznaczało to, że nie da się ich zaobserwować w komorze pęcherzykowej, lecz można o nich jedynie wnioskować pośrednio. Nocami śledził wyniki jego prób z rosnącym zainteresowaniem, a potem zdumieniem. Taki żółtodziób, a ile potrafi... Kiedy Marcin zaczął w swoich notatkach pisać o projekcie nowego urządzenia, Stanisław poczuł palącą zazdrość. Tak długo na cotygodniowych naradach podważał koncepcje Marcina, że chłopak, niezbyt pewny wartości swoich badań, wycofał się.

Nalał sobie kolejnego drinka. Druga w nocy, czemu to tak długo trwa? Czy Akademia zawsze tak długo obraduje? Może są jakieś wątpliwości? A może telefon nie działa? Podniósł słuchawkę, zabrzmiał znajomy sygnał. Podszedł do okna i szeroko je otworzył. Chłodne październikowe powietrze orzeźwiło go. Powrócił we wspomnieniach do dni, w których opracowywał ponownie wyniki doświadczeń Marcina, jako własną zupełnie nową teorię cechowania. Zaangażował się w budowę akceleratora LHC, który zacznie działać w przyszłym roku. Tyle pracy, tyle nieprzespanych nocy, może uda się w końcu zaobserwować hipotetyczną cząstkę Higgsa i może spełni się jego największe marzenie.

Najpoważniejszym konkurentem do Nagrody był Sergio Ferrone. Spotkali się przypadkowo w hotelu Rotary w Genèvie. Po lekkim daniu z owoców morza i białym winie dla Stanisława oraz steku z frytkami i piwem dla Sergio na pożegnalnego drinka przeszli do jego pokoju. Przez okno do pokoju wpływało parne powietrze, zbierało się na burzę. Sergio poruszył nerwowo głową. Wybacz, muszę odpocząć, bardzo boli mnie głowa i nie mogę ruszyć ręką – wybełkotał – wezwij lekarza... Lekarza? Stanisław oparł się o oparcie krzesła i napił wina. Potem jednak zaczął ner-

wowo krążyć po pokoju, podszedł do okna, popatrzył na jezioro. Chmurzyło się coraz bardziej. Po paru chwilach zadzwonił na recepcję. – Panu Ferrone coś się stało – powiedział. Proszę przysłać pomoc. Karetka przybyła bardzo szybko. – To udar, jedziemy do szpitala uniwersyteckiego – zdecydowali ratownicy. No cóż, nawet ten szpital nie poradził sobie z zapchanymi arteriami Sergia.

Drgnął na dźwięk dzwonka, była 3:45 rano... – Pan Stanisław Krasnopolski? – zapytał głos w słuchawce. Mówi Hans Peter Haggesson, sekretarz Królewskiej Akademii Nauk w Sztokholmie...

Zielone filiżanki

– Pa! Mamo! Pa! – zawołała ginąc w mroku klatki schodowej. – Pa! Córciu! Pa! – odpowiedziała w mrok klatki schodowej. Kobieta podeszła do stołu, na którym stały dwie zielone filiżanki. – Zieloną herbatę, mamo, będziemy pić w zielonych filiżankach – powiedziała kiedyś jej córka i wyjęła z torby dwie zielone filiżanki. Potem przez wiele lat z każdej podróży przywoziła kolorowe paczuszki zielonej herbaty. Siedziały, popijały aromatyczny napar, a ona opowiadała o tym, gdzie była, co widziała i co tam robiła. Nigdy nie miała dość tych rozmów. Zawsze niecierpliwie czekała na następną wizytę. A kiedy kończyła się kolejna paczuszka herbaty, kiedy wsypywała ostatnie listki do imbryczka, wiedziała, że już wkrótce jej córka pojedzie z kolejną misją, aby nieść pomoc potrzebującym. Była z niej dumna, a zarazem umierała ze strachu o jej życie.

– Pa mamo! Pa! Taka praca. Muszę.

– Pa córciu! Pa! Pisz! Dzwon. Uważaj na siebie! Będę na ciebie czekała.

Od ilu już lat piją razem zieloną herbatę? Dzień podobny do dnia. Rok do roku. Zima, lato, zima... Kobieta podniosła filiżankę z niedopita herbatą. Pozostał na niej czerwony ślad szminki. Podreptała do kuchni i zaparzyła nową porcję herbaty. Nalała do obu filiżanek, sięgnęła po album i nieśpiesznie zaczęła oglądać fotografie. Tu stają obie. Trzymają się mocno za ręce. Jej dorosła dłoń a w niej maleńka rączka. Dziewczynka trzyma za ucho ulubionego misia. Wyjazd bez niego byłby katastrofą. Po raz pierwszy miały się rozstać. Po raz pierwszy odwoziła małą na kilka dni do dziadków. Mocno trzymała maleńką i nie wiedziała, jak przeżyje te dni bez córki. Jeszcze ostatni mocny całus.

– Pa córciu! Pa!

– Będę tęsknić. Pa!

To pierwszy dzień szkoły. Bez problemu odnajduje jasną główkę wśród tłumu pierwszoklasistów. – Pa! Mamo! Pa – szeptała niepewnie, a wielkie niebieskie oczy były pełne łez. – Pa córciu! Pa! Kochanie, nie płacz – odpowiedziała i żeby dodać małej otuchy każdego dnia czekała pod klasą. Tak, to był trudny okres. Musiała pogodzić pracę i opiekę nad córką. Że sama wychowuje dziecko? Że szkoła? Że choroby? Że wakacje? Nikogo to nie obchodziło.

- Co? Znowu zwolnienie na dziecko? Co? Urlop w lecie? Cooo?!
- Mowy nie ma!
- Wolne dostanie pani w listopadzie. Niech pani wybiera – praca albo dziecko.
- Żegnaj panią!

Ona nie miała wyboru. Miała dziecko i musiała mieć pracę! Pracowała nocami, brała prace zleczone do domu, rozosiła o świcie mleko. I dała radę. Bez zwolnień. – A jednak dałam radę! – popija herbatę małymi łyżkami i przewraca strony. – Pa! Córciu! Pa! – wołała w za nią, kiedy przeskakiwała po dwa schodki, pędząc do szkoły. Rozwiane włosy, torba na ramieniu. Która to mogła być klasa? Czwarta? Piąta? Już dawno nie odprowadzała jej do szkoły. Już dawno była dzieckiem z kluczem na szyi. Nie była pobłażliwą matką. Może zbyt dużo od niej wymagała? Była przecież taka mała. Na stole w kuchni zostawiała kartki: „Córciu! Wracam z pracy o godzinie dwudziestej drugiej. Proszę, posprzątaj i zrób zakupy. Tu masz listę: chleb, kostka masła, dżem”. No bo co innego miała zrobić? Sklepy zamykali przecież o osiemnastej. Nie zawsze było idealnie. Bywały dni buntów, narzekań. Ale zaraz potem mała przytulała się i szeptała:

- Ja tylko tak, mamo. Ja nie chciałam źle. Ja tylko tak.
- Usiądź, jesteś taka zmęczona. Chcesz, zrobię nam herbatę? Mamy Madras! – Herbatę zawsze chciała. Herbata pomagała na wszystko.

To na słońcu z wakacji na Cejlonie. Jak dziś pamięta tamten wieczór. Rozgoryczona i zła siedziała nad szklanką gorzkiej herbaty Popularnej. Od wielu tygodni wszystko układało się „nie tak”. „Nie tak” w pracy, „nie tak” z córką, „nie tak” ze zdrowiem. I w dodatku ta znienawidzona Popularna. Żeby chociaż Madras albo szczyt marzeń w tamtych czasach – Yunnan. A tu nie! Tylko ta Popularna! Tego dnia zamarzyła, że pojedą na Cejlon. Zobaczą herbaciane pola i poznają smak prawdziwej herbaty. Długie miesiące odkładała każdy grosz, brała dodatkowe prace. W końcu uzbierała na wyjazd. Pojechali w lipcu. Nikt nie powiedział jej, że latem nie jedzie się w tropiki. Pani w Orbisie miała sprzedać wycieczkę i sprzedała. Tego obezwładniającego, lepkiego upału nie zapomni do końca życia. W nocy spały pod mokrymi prześcieradłami, a dnie spędzały zanurzone po szyje w basenie. Ale herbaciane pola widziały! Tam właśnie w herbaciarniach po raz pierwszy piła zieloną herbatę. Ociekając potem, oganiając się od much i komarów oglądały wszystko, co tylko mogły. Jej córka z zaciśniętymi ustami, z przerażeniem w oczach patrzyła na panującą dookoła biedę. Na wyciągnięte ręce dzieci, na ludzi mieszkających w nędznych lepiankach i myjących się w kałużach wody. Na tym tle ich skromna egzystencja wydawała się luksusem. To właśnie ten wyjazd zdecydował o przyszłości. – Mamo! Postanowiłam, że kiedy dorosnę, będę pomagać biednym ludziom na całym świecie – powiedziała, gdy wracały do domu. Dotrzymała słowa. Jedyne zdjęcie z tego wyjazdu to właśnie to na słońcu.

– Pa mammo, Pa! – wołała idąc z koleżankami. – Pa córciu! Pa! – odpowiadała, chociaż dobrze wiedziała, że córka zajęta sprawami nastolatek, już tego nie słyszy. – Pa mammo! Pa! – wołała i całowała ją w policzek, kiedy z błyskiem w oku biegła na spotkanie z chłopakiem. – I wiesz, wrócę dzisiaj troszkę później. Idziemy do kina – dodała. To idziemy, a nie idę, było dla niej znakiem, że mała dorastała – dla niej dorastała zbyt szybko. Podnosi swoją filiżankę i uśmiecha się do tej drugiej. Tej, ze śladami czerwonej szminki.

Zdjęcie z Jastarni. Cały czas padał deszcz. Kupiły kalosze i peleryny. Poznały ciekawych ludzi, zwiedziły wybrzeże. Zimno? Deszcz? Nic nie mogło im zepsuć wyjazdu. Tylko – uśmiecha się do wspomnień – po dwóch tygodniach takiej barowej pogody przybyło jej pięć kilogramów! Śmiała się, że zgubiła ją bita śmietana, ciastka i deszcz. A chorowita mała? Przez całą zimę nie miała nawet kataru! Zakopane – zimowe kurtki, rękawice, szaliki – rano nauka jazdy na nartach, a wieczorami – szczyt luksusu – gorąca czekolada. Obie takie piękne, młode, radosne. Jak siostry. To zdjęcie lubi szczególnie. To nagroda za jej trud, za nieprzespane noce, za zmartwienia. Córka właśnie skończyła studia i szykuje się na bal. Pięknie wygląda w zielonej sukience i w czarnych szpilkach. Jej dorosta córka. Jej Pani Doktor.

– Pa mammo! Pa! Dziękuję ci za wszystko! Jesteś najwspanialszą mamą na Ziemi!

– Pa córciu! Pa! Baw się dobrze. Baw się najlepiej na świecie!

Zdjęcie ze ślubu. Córka w białej sukni z kwiatami we włosach. Dookoła roześmiane drużyny. Przez szparę w drzwiach widać maślane oczy pana młodego. Oj, dostało mu się za to podglądanie! Kobieta ociera spływającą łzę.

– Pa córciu! Pa!

Tak, to wtedy dostała od niej dwie zielone filiżanki, „zieloną herbatę pije się w zielonych filiżankach”. Pustka, samotność. Ile to już lat, jak nie mieszkają razem? Jej dorosła córka zabiegana, zmęczona. Praca, mąż, dzieci, wyjazdy...

– Taka praca, mammo. Czy możesz zajrzeć do moich dzieci? Pa mammo! Pa! Wrócę najszybciej, jak będę mogła!

– Pa córciu! Pa! Bądź spokojna. Wszystkim się tu zajmę. Pa!

Była potrzebna jej i wnukom. Jak dobrze być komuś potrzebnym. Jak dobrze nie być samej. Córka wracała z tych swoich – „jestem tam potrzebna, taka praca” – i zawsze znajdowała czas, aby wpaść na filiżankę zielonej herbaty.

A tu ona w chusteczce na głowie. Siedzi na szpitalnym łóżku. Za chwilę przyjdzie pielęgniarka i zawiezie ją do sali operacyjnej.

– Pa córciu! Pa! Nie martw się o mnie. Mam dla kogo żyć. Nie poddam się.

– Pa mammo! Pa! Będę tu na ciebie czekała.

Tak, to wtedy zrozumiała, że ich role odwróciły się. Już nie ona opiekuje się swoją małą córeczką, ale to jej dorosła córka opiekuje się swoją starą matką.

Kobieta spogląda na pustą filiżankę i zamyka album. Kiedy patrzy wstecz, życie wydaje się tylko chwilą. Pamięć płata figle, wszystko zamazuje się, zlewa. A jednak, gdy wraz z zielonymi filiżankami ogląda stare zdjęcia, przypomina sobie minione dni. Chwile dobre i złe. Swoją młodość i dzieciństwo córki. Wspomina ludzi, których poznała, tych którzy byli przy niej przez wiele lat i tych których imion już nie pamięta. Na tych małych kartonikach drzemią okruchy jej życia. Ich życia. Znosi do kuchni filiżanki i dokładnie myje. Swoją pustą i tą ze śladem czerwonej szminki, która jak zawsze „oglądała” z nią stare fotografie. Ostrożnie, drżącymi rękami odstawia je na miejsce. Będą czekać do następnego spotkania! W szufladzie czeka jeszcze spory zapas kolorowych paczuszek z zieloną herbatą.

– Pa córciu!

– Pa!

Kobieta w czerni pochyła się i zamiast zniczy stawia na grobie dwie zielone filiżanki. Zapala w nich świece i szepcze:

– Pa mamó.

– Pa.



Marek Waławender

II miejsce w konkursie

Za dyscyplinę formalną, oszczędny język, brawurowe połączenie rodzinnej opowieści z elementami publicystycznymi.

Teresa i Edward

Bohater codzienności to nie jest ktoś wyjątkowy przez jakiś szczególny moment. Zmaga się z codziennością, by być coraz lepszym, a nie jest znany z jakiegoś spektakularnego wyczynu. Jego bohaterstwo wyraża się poprzez proste gesty, czyny, zwykłe działania, naturalność, pomoc, życzliwość w stosunku do innego człowieka. Bohater codzienności to ktoś szczególny przez to, że jest ważny przez długi czas – całe życie.

Jaka nazwa godów, taki prezent. Podobno taki jest zwyczaj. Czyli na papierowe gody, np. album. Na srebrne – srebrna zastawa. Na złote – złoty pierścionek. Na diamentowe mogłyby być diamentowe spinki. Tylko po co im one? Są już spięci razem przez pięćdziesiąt dziewięć lat. W przyszłym roku będą obchodzić okrągłą, 60-tą rocznicę zawarcia związku małżeńskiego – diamentowe gody. Już trzeba się przygotować do tej wielkiej imprezy. Oni nie potrzebują gadżetów. Poszukają wartości duchowych. Diamentu im nie dam, bo go nie oczekują. A co im dam?

Małżeństwo staje się instytucją przestarzałą i ma charakter przejściowy. Dzisiaj tylko pięćdziesiąt procent małżeństw doczeka 20-tej rocznicy ślubu. „Żyli długo i szczęśliwie” to formułka rodem z bajek, a funkcjonująca w wiejskiej literaturze i komediach romantycznych. Ale to nie dzisiaj, to kiedyś było trudniej. Teresa i Edward należą do straconego pokolenia, któremu przypadła rola odbudowywania zrujnowanego świata. Ponieważ świat był zrujnowany prawie do spodu, to właściwie budowania nowego świata. Budowla nie udała się. Okazała się dekoracją, która się rozsypuje. Mogą sobie jeszcze na to popatrzeć. Oni musieli normalnie żyć w tych dekoracjach. Uprawiać swoją

trójpółówkę: sen, praca, wypoczynek. Nie było przyjemności życia i trudno było z życia korzystać. Trzeba było pracować, zadbać o jedzenie, troszczyć o zdrowie, wychować dzieci i znaleźć miejsce na miłość.

Niedawno powiedziała mi: – Mnie tylko on trzyma jeszcze przy życiu... kto by zrobił koło niego, posprzątał, ugotował, podał jedzenie... gdybym umarła, to sam nie dałby sobie rady.

Czy to jest wyznanie miłości? A on? Narwany, niecierpliwy. Za dużo na nią krzyczy i pogania ją. Czy mógłby żyć bez niej? Skoro cały czas reaguje na nią emocjonalnie, to znaczy, że jest dla niego ważna. Ich miłość nie jest przesadna. Nawet trudno ją dostrzec. Skryta głęboko jak to serce w korze olbrzymiej sosny w głębi podrakszawskiego lasu. Edward, jeszcze przed małżeństwem, w 1952 albo 1953, wyciął je – wydłubał w tej sośnie. I umieścił w środku inicjały, Teresy i swoje. Ta sosna już uschła i kora z niej opadła. Ja jeszcze widziałem to serce i trochę też te ich wspólnie dłubane lata.

Nie da się selekcjonować osiągnięć ich sześćdziesięciu wspólnych lat. Oceniać, wyliczać: czym się zajmowali, co zrobili, co im się udało a co nie? Nie są wzorowym małżeństwem. Nie są idealni. Ponieważ są różni, to się uzupełniają. Są na tyle dobrzy, na ile mogli być. Czyli są najlepsi na świecie. To, że są razem tak długo, jest wystarczająco niezwykle. Są wygrani. Gdy jest się sześćdziesiąt lat razem, to jest się zwycięzcą. Taka współsześćdziesiątka robi wrażenie, budzi szacunek i podziw. Dla swoich potomków są punktem odniesienia. Dla czworga dzieci – trzech synów i córki. Dla dziewięciorga wnuków – siedmiu chłopaków i dwóch dziewczyn. Dla prawnuków – ale prawnuków na razie brak. Dla prawnuków będą. Wnukowie się nie śpieszą. Dzisiaj współżyje się na krótki dystans. Na sześćdziesięcioletni bezmiar czasu spędzony razem z kimś brakuje wyobraźni. Ludzie żyją coraz dłużej a związki są coraz krótsze. Długotrwałe związki stają się coraz rzadsze i cenniejsze. Jak diament.

Uznanie dla długoletnich małżeństw jest w Polsce państwowo usankcjonowane. Zgodnie z ustawą sejmową Prezydent RP odznacza pary ze stażem pięćdziesiąt lat lub więcej Medalem za Długoletnie Pożycie Małżeńskie. 31 lipca 2007 r. Prezydent RP wydał rozporządzenie, które ustaliło właśnie taką pisownię tego odznaczenia państwowego. Z wielkich liter. Sprawę załatwia się w Urzędzie Stanu Cywilnego. Składa się podanie i gdy potrzeba skrócony akt małżeństwa. Wniosek kieruje do Prezydenta RP Wojewoda, który musi sprawdzić i dołączyć do wniosku informację, czy osoby objęte wnioskiem nie były karane. U nas biurokracja bez wniosku nie zadziała. Uruchomić ją może tylko prośba na piśmie od obywatela, prawidłowo wypełniony druczek. Dopiero wtedy tryby administracji zaskakują. Zostaje nadany sprawie bieg. Królowa Brytyjska robi to ładniej. Gdy małżonkowie w Królestwie kończą pięćdziesiąt wspólnych lat, dostają pierścień i list gratulacyjny bez potrzeby składania jakichkolwiek wniosków. Biurokracja w Królestwie działa sama. Automatycznie. Obywatel nie musi niczego uruchamiać. Później, rok po roku w każdą kolejną rocznicę ślubu małżonkowie dostają od Królowej listy.

U nas Prezydent ma ustawowy miesiąc na rozpatrzenie wniosku, a później władze lokalne jeszcze czas na ustalenie terminu zorganizowania imprezy wręczenia odznaczenia. Całość trwa około pół roku. Oni pogardzili tym odznaczeniem, gdy obchodzili 50-tą rocznicę ślubu. Teraz chcą. Wniosek trzeba będzie złożyć. Ten medal im się należy. Wręczy go zapewne wiceburmistrz, odczyta list od Prezydenta, ktoś zagra, zaśpiewa, będzie ciasteczko i lampka szampana. Państwo swoje, my swoje. Rodzina zrobi własną imprezę. Będziemy mieć wielkie rodzinne święto. Największe święto stulecia. Może największe święto w historii rodu. Nikt nie pamięta ważniejszego wydarzenia. Święto jest początkiem kultury. Już ich 50-ta rocznica ślubu była dużym świętem. Mam zbiorowe zdjęcie z tej imprezy. Wystarczy, że na nie popatrzę i już czuję się lepiej. 80-te urodziny Edwarda też były wielkim świętem. Dostał certyfikat upoważniający go do używania tytułu najstarszego seniora rodu. Certyfikat potwierdzony podpisami całej najbliższej rodziny. Ma go teraz w pokoju w ramach na ścianie. W zeszłym roku 80-te urodziny Teresy. Również święto. Osobiście wręczałem jej figurkę Oskara „za główną rolę kobiecą w naszej sadze rodzinnej”. Na diamentowe gody zrobię film. Teresa i Edward *story*.

Teresa i Edward – moja mama i tato. Bohaterowie naszej rodziny. Jestem najstarszym dzieckiem tej diamentowej pary. Pojadę do Rakszawy – stamtąd pochodzą. Pojadę do Głogowa Małopolskiego – tam żyli w pierwszych latach małżeństwa. Do Jarosławia, gdzie mieszkają. Do Radawy, tu są w lecie. Porobię zdjęcia współczesne z ważnych dla nich miejsc. Przeszukam stare albumy i wybiorę fotografie. Odpowiednio je skomentuję. Jeszcze posadzę ich obok siebie, przed kamerą i zapytam się:

- Opowiedzcie coś o tym sercu wyciętym w korze sosny – opowiedzcie, jak to się zaczęło?
- Z czego jesteście najbardziej zadowoleni?
- Jak się czujecie teraz – jak jest dzisiaj?
- Co chcielibyście przekazać swoim przyszłym potomkom?

Film wyświetlimy na dużym ekranie podczas naszej rodzinnej imprezy. Zrobię album, napiszę do tego tekst, w środku umieszczę płytkę DVD z filmem. To im dam. Taką pamiątkę. Dla nich. Dla siebie. Dla Czeńka, Piotra, Doroty, cioci, wujka... muszę wyprodukować kilka, może nawet kilkanaście egzemplarzy. Pamiątka dla nas wszystkich. Nasi bohaterowie. Teraz i na zawsze.





Jadwiga Zgorzelska

I miejsce w konkursie

Za autentyczny, złożony, wieloznaczny i fascynujący portret starszego człowieka a także za umiejętnie poprowadzone przenikanie się płaszczyzn przeszłości i teraźniejszości.

Życ trzeba

– Jest pan w szpitalu, miał pan zawał serca, ale opanowaliśmy sytuację i wraca pan do zdrowia. Jest pan pod dobrą opieką.

Nie bardzo rozumie. Pamięta, że wyszedł po bułki i mleko, miał też zamiar wstąpić do warzywniaka, może kupiłby stopięćdziesiąt gramów truskawek. Potem już tylko czarna dziura, nie wie, co się działo. Czuje się onieśmielony otaczającą go aparaturą oraz chłodną uprzejmością lekarza i pielęgniarki. Nigdy wcześniej nie był w szpitalu, jak się tu znalazł? Gdzie są klucze do mieszkania i portfel? Próbuje się podnieść, rozejrzeć po tym dziwnym pomieszczeniu, pielęgniarka stanowczym gestem go powstrzymuje.

– Miał pan szczęście, sąsiadka znalazła pana w windzie i wezwała pogotowie.

Jaka sąsiadka? Nic nie pamięta. Zazwyczaj rano wychodzi po drobne zakupy, oczywiście dokładnie zaplanowane, wiadomo, po uregulowaniu wszystkich opłat pieniędzy zostaje niewiele. Musi nieźle kombinować, żeby przeżyć do następnego dziesiątego. Na szczęście emerytura przychodzi już dziewiątego, wtedy siada nad kartką papieru i planuje wydatki na cały miesiąc. Na codzienną gazetę już nie może sobie pozwolić, nie szkodzi, ma radio i telewizor. Czasem obejrzy rozgrywki sportowe albo jakiś film. Ostatnio zafascynował go *Dzień świra*. Już to kiedyś oglądał, ale teraz bohater wydawał mu się szczególnie bliski, chociaż młodszy i w pełni aktywności zawodowej. Poczuł jakieś nie-

pokojące powinowactwo dusz. Zapisał się do biblioteki. Można nadrobić zaległości w lekturze, a i czasem jakieś no-wości pani bibliotekarka podsunie.

Obiady w stołówce pobliskiej szkoły na szczęście nie są drogie. Konsumuje na miejscu drugie danie, a zupę zabiera do słoika i odgrzewa na kolację. W sobotę i niedzielę coś tam sobie upichci. Najbardziej nie lubi wakacji, bo wtedy stołówka nieczynna.

– Czy życzy pan sobie, aby kogoś zawiadomić, że pan jest w naszym szpitalu?

– Nie, nie trzeba.

Kogo mogliby zawiadomić? Córka mieszka w Irlandii. Kilka miesięcy po studiach wyjechała ze swoim chłopakiem. Szkoda, że nigdy nie pojechał zobaczyć, jak się urządzili, wielokrotnie zapraszali. Zięć znalazł pracę w swoim zawodzie, córka na razie zajmuje się wnuczką. W przyszłym roku, kiedy mała pójdzie do przedszkola, wróci do pracy. Kiedy pięć lat temu podjęli decyzję o emigracji, miał nadzieję, że niebawem wróca, przecież ciężko żyć w obcym kraju, z dala od rodziny. Jednak okazało się, że tam znaleźli swoje miejsce na ziemi. Na początku często dzwonili, ostatnio już tylko z okazji świąt i urodzin. Najbardziej żałuje, że nie może uczestniczyć w dorastaniu wnuczki, widział ją tylko raz. Kiedy wyjeżdżali, nic nie zapowiadało katastrofy, jaka wkrótce miała nastąpić w jego życiu. Wiedli z Kryską spokojne życie. Oboje pracowali, wprawdzie na urzędniczych stanowiskach pensje były mizerne, ale dawali radę. Zdrowie dopisywało, nie mieli wielkich oczekiwań. Urlop spędzali zazwyczaj nad polskim morzem, Kryśka uwielbiała te wyjazdy.

Cztery lata temu postanowili trochę zaszaleć, za namową Jurka wykupili wycieczkę do Egiptu. Pojechali w trójkę. Bawili się świetnie, no i zobaczyli kawał egzotycznego świata. To chyba wtedy się zaczęło. Niczego nie podejrzewał, do Kryśki miał bezgraniczne zaufanie, do Jurka zresztą też. Przeżyli z Kryską trzydzieści cztery lata. Różnie bywało, jak to w małżeństwie, ale ostatnio układało im się dobrze. Pobrali się pod koniec studiów, zamieszkali kątem u jej rodziców, ale już po czterech latach dostali przydział mieszkania w bloku na nowym osiedlu. Dorabiali się powoli, byli szczęśliwi.

Jurka poznał jeszcze w liceum. Potem ich drogi na parę lat się rozeszły, Jurek poszedł na politechnikę. Spotkali się ponownie przypadkiem na ulicy. Kryśka była wtedy w ciąży, wkrótce potem poprosili, żeby został ojcem chrzestnym ich córki. Sześć lat temu Jurek przeżył osobistą tragedię. Razem z Haliną dzielnie walczyli przez ponad dwa lata, ale przegrali walkę z rakiem piersi. Od tamtej pory był dla nich jak brat. Jurek miał łatwość nawiązywania kontaktów z kobietami, był przystojny, pewny siebie. Wydawało się, że zwiąże się z młodszą, atrakcyjną dziewczyną. Tymczasem trzy miesiące po powrocie z Egiptu Kryśka się do niego wyprowadziła.

Został sam w mieszkaniu, które razem mozolnie urządzali przez całe wspólne życie. Kryśka miała dobry gust, więc to ona decydowała o detalach. Pół roku później odesłano go na emeryturę. Tak, odesłano, bo miał już wystar-

czający staż i reorganizacja kadrowa w urzędzie wydała wyrok na niego i jeszcze kilka osób. Nie mógł uwierzyć, że po tylu latach uczciwej pracy po prostu chcą się go pozbyć, nie pytając nawet o zdanie. Z czasem, może pod wpływem kolegów, których spotkał podobny los, zaczął myśleć, że może to dobrze, spróbuje jakoś uporządkować swoje życie po tych kataklizmach. Porządnie się wyśpi, zajmie się zaniedbaną kolekcją znaczków, może znajdzie jeszcze czas na inne hobby. Przecież nieraz miał dość tej roboty i marzył o emeryturze.

Rzeczywistość okazała się jednak brutalna. Odprawa emerytalna wystarczyła na łatanie dziur w budżecie zaledwie przez kilka miesięcy. Potem musiał zacząć radzić sobie z kwotą, którą ZUS regularnie, co miesiąc wpłaca na konto. Pomyślał wtedy, że każdy potencjalny emeryt powinien przejść obowiązkowy kurs na temat: „Jak z urzędniczej emerytury utrzymać jednoosobowe gospodarstwo domowe?”. Tylko kto mógłby się podjąć przeprowadzenia takiego szkolenia? Nie potrafił przestać tęsknić za Kryską. Złość dawno minęła, gdyby zechciała wrócić, chyba nie miałby z tym problemu. Niewiele o niej wiedział, prawdopodobnie wiodło im się nieźle, firma Jurka oparła się kryzysowi, zatrudnił nawet nowych pracowników. Sprzedali mieszkanie w bloku i zamieszkali w willi na peryferiach miasta. Już dawno przestał zastanawiać się, dlaczego odeszła. Łudził się jednak, że może chociaż trochę żałuje.

Musi koniecznie dowiedzieć się, która sąsiadka wezwała pogotowie. Prawdopodobnie zawdzięcza jej życie. Jej i Opatrzności Bożej, Aniołowi Stróżowi, czy jak ich tam zwał. Po odejściu Kryski przestał chodzić do kościoła, sam nie wie dlaczego, chyba miał poczucie, że wraz z Kryską opuścił go Bóg. Może jednak teraz przypomniał sobie o nim. Przecież zasłabnięcie w mieszkaniu skończyłoby się tragicznie. Jak to tragicznie? Usiłuje wyobrazić sobie swój pogrzeb. Nie, to jeszcze nie pora, odpędza idiotyczne myśli.

Za kilka dni wróci do domu z listą zaleceń. Właściwie niczego w swoim trybie życia nie musi zmieniać. Palenie rzucił już dwa i pół roku temu. Nie było łatwo, ale ten wydatek w domowym budżecie był nie do udźwignięcia. Na szczęście udało się. Alkoholu nie nadużywa, chociaż po odejściu Kryski zdarzyło mu się parę razy popłynąć. Nie pomogło, to tylko chwilowe znieczulenie. Doktor wspominał o spacerach i łagodnej gimnastyce. Przecież odkąd pozbył się swojego wysłużonego Fiata Uno, bo naprawy, przeglądy no i benzyna okazały się zbyt kosztowne, przemierza na piechotę całkiem spore odległości. Oczywiście regularne zażywanie leków jest bardzo ważne, musi się zdyscyplinować. Ostatnio parę razy nie zrealizował recepty. Ciśnienie miał w normie, więc pomyślał, że sobie odpuści, to przecież kilkadziesiąt złotych miesięcznie. Może jakąś dorywczą pracę znajdzie? Wielokrotnie to wcześniej rozważał. Mógłby zataić swoje kwalifikacje, ale i tak nikt go nie przyjmie. Nigdy nie pracował fizycznie, jest za stary, no i teraz po zawale. Własną działalność założyć? Po trzydziestu paru latach pracy w urzędniczej machinie mózg nie jest w stanie obudzić w sobie iskry przedsiębiorczości.

Wróci więc do swojego dotychczasowego życia. Innej alternatywy nie ma. Pomysły na ewentualne zmiany musi mierzyć możliwościami finansowymi. W przyszłym miesiącu spłaci ostatnią ratę za wymianę okna w sypialni, więc na leki powinno wystarczyć. Strasznie wiało przez to stare okno, teraz ma szansę zaoszczędzić na opłatach za centralne

ogrzewanie, więc chyba inwestycja za parę lat się zwróci. Ma pełną szafę ubrań na wszystkie okazje i pory roku. Gdyby czegoś jednak potrzebował, niedaleko domu na osiedlu jest ciucholand. Na wyjazdach mu nie zależy, w końcu w mieście też można wypoczywać. Nigdzie nie był od czasu tej feralnej wycieczki do Egiptu i nie uważa, aby wakacje na emeryturze były konieczne. Może kiedyś wybierze się z wizytą do dzieci do Irlandii, ale najpierw spróbuje zaoszczędzić przynajmniej na bilet. Podobno poza sezonem urlopowym można znaleźć w Internecie niezłe okazje.

Pretensje do losu topnieją jak marcowy śnieg. Będzie przecież mógł normalnie żyć. Przebyty zawał nie ograniczy jego sprawności. Miał szczęście, pomoc nadeszła w porę. Oszczędzanie przetrenował już dokładnie, chyba da radę. Byle tylko zdrowie dopisało. Jeśli wierzyć statystykom, ma przed sobą ponad dwadzieścia lat życia na emeryturze. Niektórzy twierdzą, że ten etap może być bardzo przyjemny, nawet owocny. Weźmie psa ze schroniska, to go zmobilizuje do regularnych spacerów, no i wreszcie nie będzie sam.

Pokora i afirmacja życia, jakie nim zawładnęły wywołują dziwne, dawno zapomniane uczucie spokoju i zadowolenia. Przypomina sobie znaną na ławce w parku *Politykę*, którą łąpczywie przeczytał od deski do deski. Była tam między innymi rozmowa z Jerzym Pilchem. Pamięta dokładnie ostatnie, podsumowujące zdanie pisarza: „Trzeba żyć, trudno, Cracovia znowu nie wejdzie do Ekstraklasy, ale, kurwa, żyć trzeba”.

ROZMAITOŚCI

W tej części prezentujemy subiektywny wybór tekstów, będących efektem warsztatowych wyzwań w grupach: proza i media. Ćwiczenia, gry czy nawet literackie żarty, prace domowe i pisemne refleksje inspirowane udziałem w wydarzeniach kulturalnych. Wśród nich kilka pełnowartościowych autonomicznych tekstów prozatorskich i publicystycznych.



Izabella Bociańska

Recenzja ze spektaklu *Paw królowej* według Doroty Masłowskiej, wyreżyserowanego przez Pawła Świątka, wystawionego w krakowskim Starym Teatrze. Refleksje po wspólnym obejrzeniu spektaklu w ramach Klubu Saga.

Paw królowej

Historia opowiada o medialno-artystycznej „Warszawce”. O wokaliście Stanisławie Retro, przeżywającym upadek kariery, zawistnie śledzącym sukcesy konkurencji. O jego dziewczynie Annie Przesik wypromowanej na „poetkę neolingwistkę”. Katarzynie Lep, która przyjechała do Warszawy robić karierę modelki, Maku Robercie – dziennikarzu muzycznym dość wpływowym, przeżywającym wielki powrót na łono prasy oraz o brzydkiej dziewczynie Patrycji Pitz.

Masłowska mówi językiem telewizji, piosenek, reklam, sloganów politycznych, slangiem młodzieżowym i środowiskowym, tworząc z niego odrębny styl. Fabuła banalna, utrzymana w rytmach hip-hopu. Istotą spektaklu jest obraz polskiego społeczeństwa i otaczająca nas rzeczywistość. Obserwuję grę aktorów, wsłuchuję się w jakąś towarzyską degrengoladę, potok niecenzuralnych słów, obsceniczne gesty i zachowania. Skandalizujący monolog i dialogi. Zadaję sobie pytanie – czemu to ma służyć?

Z biegiem czasu zaczynam rozumieć. Krzyczeć należy dosadnie. Tak, aby dotarło. Współczesna rzeczywistość jest tak brutalna i tandetna, że nie da się ubrać jej w inne słowa. Wszechobecne chamstwo, chłam, kryzys elit intelektualnych. Inteligencja stała się towarem niszowym, zeszła do podziemia. Jak musi czuć się twórca, aby powstał tak drastyczny przekaz? Odpowiedź podsuwa mi Wiesław Myśliwski: „pisać książki powinno się dopiero, gdy człowiek czuje, że nie ma już żadnego innego wyjścia (...) wtedy, kiedy się jest przekonanym, że ma się coś naprawdę do powiedzenia komuś drugiemu”.

Żadna to argumentacja, że to *signum temporis*. Nie zgadzam się na taki świat, nie chcę tak żyć. Jeśli w każdym zapanuje niezgoda, może stworzy ona inne realia a to, co teraz jest normą zostanie zepchnięte na margines. Budujmy lepszą rzeczywistość, nie dajmy się wchłonąć upodlającym czasom. Przecież tyle zależy od nas!



Elżbieta Boroń

Ćwiczenie warsztatowe – grupa Media

Co mnie zachwyło

Pewnego dnia, przypadkowo, dowiedziałam się, że wieczorem odbędzie się w Audytorium Maximum spotkanie z ks. prof. Michałem Hellerem, uczonym, kosmologiem, filozofem i teologiem – laureatem Nagrody Tempeltona. Jednocześnie będą wtedy dostępne egzemplarze jego najnowszych książek.

Mimo innych spraw udało mi się dotrzeć do Audytorium Maximum, kupić w holu najnowszą książkę „Bóg i nauka” i znaleźć wolne miejsce w auli. Były tłumy ludzi, od góry do dołu, część spóźnialskich siedziała na schodach i w przejściu. I wreszcie ukazał się ks. prof. Heller – w garniturze (nie sutannie) z pilotem w ręku, bo informacje o kosmosie były ilustrowane na telebimie. Moja wiedza na temat wszechświata jest na poziomie szkoły średniej, ale książdz profesor wyjaśniał przede wszystkim relacje każdego człowieka z kosmosem, objaśniając prawa matematyki, fizyki, a przede wszystkim prawa przyrody. Były wykresy i mnóstwo fotografii nie tylko ziemi, ale całej galaktyki. Często fotografie były w kolorze i tu ks. prof. podkreślał niesamowite piękno tego, co dzieje się w kosmosie. Aby podkreślić artyzm natury – dla porównania – umieścił obok reprodukcję jednego z impresjonistycznych obrazów Claude Moneta – gdzie bogactwo barw było podobne do wspaniałych obrazów w kosmosie.

Osobiście odebrałam to jako przekaz, że piękno kolorów w kosmosie to dzieło Boga, a piękno obrazu Moneta to dzieło człowieka. Wszyscy byli zachwyceni, a ja szczególnie. A książdz profesor Heller wyjaśniał, że właśnie my – ludzie, jesteśmy elementami kosmosu. „Kosmos nas zrodził i kosmos nosimy w sobie. Granice kosmosu przebiegają w nas samych”. To było wspaniałe spotkanie, do tej pory jestem pod wrażeniem.





Wanda Chrabąszczewicz-Ziobrowska

Ćwiczenie warsztatowe – grupa Proza

My odkrywamy Sagę, a Saga nas

Długo patrzyłam na płótno pt. *Paon* na wystawie *Zawsze Młoda Polska*. Rysunki, żarciki, sentencje, komentarze. Artyści zawsze szukali wspólnej przestrzeni i miejsca, gdzie mogliby się spotykać, rozmawiać, sprzeczać, wyrażać swoje poglądy, żartować, robić szkice i karykatury kolegów.

Właśnie z takiego miejsca pochodzi obraz – dokument, o którym mowa. Popularna w owym czasie w Krakowie kawiarnia Terlikowskiego (Paon) gromadziła pisarzy, poetów i malarzy; a właściciel rozwieszał płótna, kupował przybory do pisania i rysowania nie tylko, by ochronić ściany przed „zniszczeniem”. Wyczuwał raczej, że te spontanicznie wyrażane emocje na czymś, co było pod ręką – mogą przetrwać wieki i zyskać na wartości.

A dziś? Analiza zmiany obyczajów, wartości, upodobań i potrzeb artystów, a co za tym idzie ich zachowań wymagałaby napisania obszernego materiału. Dziś miejscem przyjaznym artystom jest Stowarzyszenie Willa Decjusza. Poznaliśmy jako Klub Saga urodę Willi i działalność Stowarzyszenia. Wiemy na jak szeroką skalę działa, wspierając talenty te już uznane, jak i te wschodzące.

Największą niespodzianką dla mnie okazał się program Saga. Jak czarodziej wyciągający zajączki z kapelusza odkrył drzemiące w „ludziach 50+” artystyczne dusze. Wyjątkowe miejsce, atmosfera, interesujący ludzie (liderzy), wspólnie oglądane autorskie filmy. To wszystko w krótkim czasie zaowocowało otwarciem naszych serc i umysłów na świat i co ważniejsze siebie samych, co widać na stronie internetowej Sagi.

Dzięki jej za to.





Barbara Cieniawa

Ćwiczenie warsztatowe – grupa Proza

Pierwsze wspomnienie z dzieciństwa

Noc. Poczekalnia na jakimś dworcu kolejowym. Odrapane ściany, półmrok. Tłum ludzi – uciekinierów w różnych pozach śpiących na ławkach lub podłodze. Zbudziłam się i zobaczyłam, że moi rodzice śpią. Zaintrygował mnie lśniący kapelusz siedzącego parę kroków ode mnie mężczyzny, z jeszcze ciekawszą zabawką, którą przytrzymywał kolanami. Nie spał. Podeszłam do niego i zaczęłam dotykać tę zabawkę. Była duża, zimna w dotyku i niezbyt przyjemna. Chciałam ją obejrzeć bliżej, bo takiej zabawki jeszcze nie widziałam. Zaczęłam ciągnąć w swoją stronę. Nie udało się. Pan wyraźnie nie miał ochoty pozwolić mi na zabawę z nią. Za chwilę wyciągnął z kieszeni czekoladę i zaczął jeść. Tego było już dla mnie za wiele. Nie miał ochoty poczęstować mnie, podczas gdy ja byłam naprawdę głodna. Sięgnęłam więc po czekoladę i udało mi się oderwać spory kawałek, który natychmiast wsadziłam do buzi, aby mi przypadkiem nie odebrał. Zaczął coś do mnie mówić, protestować na moje bezczelne zachowanie, ale nic nie rozumiałam. W pewnej chwili podniósł głos, coś krzyknął i to zbudziło mojego ojca. Jak zobaczył tę scenę, to mało trupem nie padł. Na szczęście znał dobrze język niemiecki. Okazało się, że mój nieznajomy pan, to żołnierz niemiecki. Błyszczący kapelusz to hełm, a zabawka to karabin, który przytrzymywał kolanami, a moje słabe ręce dziecka nie dały rady go poruszyć. Z tego wszystkiego tylko czekolada okazała się prawdziwa, smaczna i pożywna, więc na krótko zapomniałam o głodzie.

Ta scena utkwiała mi w pamięci, bo dostałam od ojca pierwszą w życiu awanturę i upomnienie, że nie wolno mi zaczepiać obcych, zwłaszcza niemieckich żołnierzy. Na szczęście dla mnie był to żołnierz Wehrmachtu, a nie SS, bo mogło to się skończyć dla mnie tragicznie. Jednak miałam żal do ojca. O taki mały kawałek czekolady dostałam taką burę!





Romana Cieśla

Ćwiczenie warsztatowe – grupa Media

Co mnie oburza

Od kilku lat w maju odbywa się w Krakowie Marsz Równości, kiedyś zwany marszem tolerancji. Sam marsz jest ważny i słuszny, przypomina o nierozwiązanych problemach życiowych kilkuprocentowej części społeczeństwa. Jego uczestnicy maszerują pod hasłami, żądającymi równych praw dla wszystkich polskich obywateli bez względu na orientację seksualną.

Bulwersuje mnie natomiast to, co się przy tej okazji w Krakowie dzieje. Władze miasta pozwalają nacjonalistycznej grupie Narodowe Odrodzenie Polski organizować w tym samym dniu akcję uliczną skierowaną przeciwko Marszowi Równości. Magistrat wydał pozwolenie mimo doświadczeń lat ubiegłych, które pokazują jak niebezpieczne są chuligańskie, wręcz bandyckie zachowania członków i zwolenników tego faszystowskiego ugrupowania.

Tę „kibolską” zadymę pozwolono tym razem zorganizować tuż przed Marszem Równości. Dwa, w złej kolejności następujące po sobie, wydarzenia stworzyły na kilka godzin w środku Krakowa nastrój niepokoju i zagrożenia. Członkowie i zwolennicy NOP nie rozeszli się po swojej imprezie. W małych grupkach, obserwowani przez policję, towarzyszyli Marszowi Równości usiłując zakłócić jego przebieg. Marsz Równości z bębniami, tęczowymi flagami i balonkami przeszedł swoją trasę z Wolnicy przez Rynek Główny na plac Szczepański nie atakując nikogo, obwieszczając mieszkańców i turystom swoje postulaty wypisane na kolorowych transparentach. Natomiast ubrani na ciemno mężczyźni, prawdopodobnie uczestnicy dopiero co zakończonego oficjalnego przemarszu NOP, chcieli dać upust swojej agresji. Nieśli za Marszem Równości duży transparent z treścią nawołującą do nienawiści. W Ryнку Głównym rzucali petardami i świecami dymnymi, które spadały na zgromadzone tam wcześniej liczne oddziały policji.

Zupełnie nieprawdziwe były dziennikarskie relacje na ten temat podawane potem w serwisach informacyjnych. Donosiły one o starciach na Rynku Głównym. A przecież żadnych starć nie było. Odbył się marsz oraz próby jego zakłócenia, spacyfikowane przez policję. Trzech agresorów policja zatrzymała. Ze strony Marszu Równości nikt na wrogie okrzyki i petardy nie reagował.

Powodowane absurdalną nienawiścią akty agresji przysłoniły cele pokojowego marszu, który m.in. domagał się zalegalizowania związków partnerskich. Szkoda, że wydarzenie, które miało pozytywne i konstruktywne przesłanie, zostało ukazane opinii społecznej jako przyczyna zakłócenia porządku publicznego. Niestety, takie manipulacje uprawiają od kilku lat dziennikarze i komentatorzy relacjonujący przebieg Marszu Równości Krakowie. Oto fragment relacji krakowskiej *Gazety Wyborczej*: „Manifestacja w Obronie Tradycyjnej Rodziny starła się z Marszem Równości...”

Krakowska TVP rozpoczęła informację o tych wydarzeniach w obydwu wieczornych wydaniach *Kroniki* słowami: „W ruch poszły kamienie, petardy i świece dymne...”. Dyrektor Wydziału Bezpieczeństwa Urzędu Miasta Krakowa wbrew oczywistym faktom twierdził, że agresywna impreza NOP zorganizowana na godzinę przed Marszem Równości „nie przeszkadza w żaden sposób”.

Prawdopodobnie zakaz organizacji marszu NOP w tym samym dniu nie wyeliminowałby całkowicie aktów agresji. Jednak bez przyzwolenia na oficjalne zgromadzenie, faszyzujący chuligani nie czuliby się tak pewnie. Poza tym dwa marsze w jednym dniu zmusiły władze do zmobilizowania ogromnych sił policji. Groźnie wyglądały ulice Krakowa obstawione policyjnymi patrolami w mundurach antyterrorystycznych. Nisko nad ulicami latał policyjny helikopter. Byli też policjanci z psami i wielkimi tarczami ochronnymi.

Okropne wrażenie.



Teresa Cisłowska

Ćwiczenie warsztatowe – grupa Proza. Na kartce rozpisano trzy listy. Zawody, czasowniki, miejsca. W każdą kolumnę wpisano dziesięć słów. Wybierano je losowo, na przykład: piąte słowo z pierwszej kolumny, drugie z drugiej, szóste z trzeciej. Stworzone zdanie stało się inspiracją dla powstałych w ramach zajęć opowiadań.

Hycel przędzie łóżko

Nadeszła jesień – Kraków tego chłodnego poranka wydał się mężczyźnie całkiem przyjazny. Jarek przeciągnął się na swoim przydziałowym łóżku w domu dla bezdomnych, spojrzął na Janka, zakopanego w pościeli, potem na okno i... ku swojemu zdumieniu zobaczył swoje odbicie. Za każdym razem, kiedy widział swoją twarz w szybie, przypominał sobie swój parszywy los, tę chwilę, kiedy hycel – jego rodzony ojciec trzyma rękę uniesioną nad nim, a on kuli się ze strachu przed ciosem w twarz, głowę, gdzie popadnie... Ojciec bił na odlew i zawsze bolało. A później – no właśnie, co działo się potem?

- Syneczku, chodź do mnie, przytul się.
- Co braciszku, znowu ci się oberwało?

Jarek otworzył *Pismo Święte*, które kiedyś dostał w prezencie od ojca Efrema. Jego wzrok padł na wers: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują; tak będziecie synami Ojca waszego, który jest w niebie (...).” Bóg Ojciec, ojciec rodzony hycel, matka rodzona również hycel, los hycel... Natrętna myśl o Bogu Ojcu, który dał Jarkowi dzisiejszego poranka właśnie takie słowa do zastanowienia się nad własnym życiem. Mężczyzna pomyślał: przędę, przędzie, przędź, prządź, przędłem, prządłem, przędli, przędziony, przędzony...

- Tak sobie myślę...

Nadszedł czas pościelenia łóżka. Jarek poprawił jednym ruchem poduszkę, wyrównał kołdrę i nakrył brunatnym kocem swoje wyrko. Pomyślał: „Hycel przedzie łóżko”. Rozległ się głos, wzywający na śniadanie. Mężczyzna przywołał obraz motyla nocnego o rdzawobrunatnym ubarwieniu, którego gąsienice wytwarzają oprędy i żerują na liściach drzew – one też przędą... Słysząc było głos dzwonów, dobiegający z pobliskiego kościoła. Mężczyzna lubił ich dźwięk – poszczególne tony były dla niego sygnałem, iż poranek właśnie zaczął prząść początek dnia. Noclegownia znajdowała się niedaleko niezwykłego miejsca w Krakowie, gdzie chowano obok poetów królów. Stary Kazimierz, po którym przechadzali się zwykli jego mieszkańcy; jedni spieszący do pracy, już spóźnieni, bo potwór hycel czyhał za winklem historii. Jarek codziennie rano robił powtórkę z dziejów miasta, które przed trzydziestoma laty przygarnęło go w bramy średniowiecznych murów. Zgasły latarnie umarłych. Mężczyzna skierował wzrok na sąsiada przy stole. Pamiętał opowieść rakarza, Jędrka, który z apetytem zjadał biały ser ze szczypiorkiem. Teraz nie ważyłby się Jędrus łapać bezpieczeństwa psy, bo sam jest trędowaty. O losie!

27 lutego 1335 roku król Kazimierz Wielki powołał do życia miasto Kazimierz, przydzielając mu hojne przywileje i nadając mu swoje imię. Jarek wielokrotnie czytał dzieje miasta, fascynował się od dziecka wydarzeniami z przeszłości. Jego ojciec – zawodowy żołnierz potrafił zaszczerpić mu umiłowanie kraju. To od ojca dostał pierwszą książkę z legendami krakowskimi.

– Hojnym przywilejem, moim szczególnym uprawnieniem jest ten dom. Hycel w dalszym ciągu przedzie moje łóżko.
– Drodzy bezdomni! – Jędrku, Wojtku, Kaziku, Mareczku – czas zacząć prząść swój własny los. Życzę wszystkim udanego dnia! Wychodzę przyjaciele na miasto. Moim nietykalnym immunitetem jest wolność! A zatem *avanti!* – w drogę!

Kiedy Jarek wychodził z noclegowni, zatrzymał się na półpiętrze, aby raz jeszcze popatrzeć w zabrudzoną szybę owalnego okna. Tym razem miał zupełnie inne skojarzenie: hycel wiatr za chwilę będzie mu podwiewał cienką kurtkę, hycelom matkom, babkom, dziadkom będzie za godzinę wyliczał złoty sześćdziesiąt za obwarzanka, a jak się rozeźli-wytlumaczy z zaciśniętymi zębami, że precel to ósemka, ale tak naprawdę, kogo to miałyby obchodzić?

– Bądź przyzwoitym człowiekiem, zachowuj dobre maniery, obracaj się w przyzwoitym towarzystwie – pobrzmiwały echem słowa babci Matyldy. Pamiętaj mój kochaniutki, praca jest przywilejem.

Jarek pchnął drzwi, wyszedł na ulicę. Wiatr dotkliwie przewiał go na wskroś; charakterystycznym ruchem poprawił okulary i powolnym krokiem, kuląc ramiona w kołnierz granatowej skafandrowki, przeszedł na skos przez ulicę. Po drodze mijał pierwszych pacjentów, podążających na terapię rodzinną do ośrodka terapii współzależności. Pomyślał o ich specyficznej bezdomności. Uśmiechnął się, kiedy skonstatował fakt, że dawno temu sam był klientem, który snuł opowieść o tym, jak hycel prządl jego życie...

– Dzień dobry pani.

– Witam!

– Ależ chłodny poranek!

– Panie Jarku, jestem już spóźniony!

Dlaczego ludzie chcą, aby innym wiodło się gorzej, skąd bierze się to hyclostwo emocji? – ja, ty, nam, mnie, tobie...

– Panie Jarku, poproszę precla z sezamem. Pozwoli pan, przeczytam panu mój ostatni wiersz.

Mięta kołysana wiatrem
Pochyliła płatki do ziemi
Brzoza uciszyła liście
Lato zastygło
Siedziałam skulona
Z zaciśniętymi słowami
Poranionymi dłońmi
Zamknęłam pamięć





Maria Czaplińska

Ćwiczenie warsztatowe – grupa Proza

Stan wojenny

Drzwi na balkon otwarte i choć deszczowo, cieszę się bardzo porą roku. W pokoju zapach dzikiego bzu, który rozkwitł pod balkonem, jest cudownie i świątecznie. Jakże w tych warunkach opisać stan wojenny, a to właśnie zostało nam zadane przez miłą panią prowadzącą warsztaty literackie.

Tego dnia tj. 13 grudnia 1981 był silny mróz i śnieg padał całą noc. Obudziłam się rano – była niedziela – i jak zwykle poszłam do kuchni zrobić śniadanie.

– Marysieńko – usłyszałam męża wołającego z pokoju. – Nieczynny telewizor, nie ma też sygnału w telefonie! Pstryknęłam radio – cisza.

– Zobacz, czy jest światło.

Było. No chyba coś się zepsuło, ale co? Byliśmy przyzwyczajeni do różnych uciążliwych braków i nic nas nie dziwiło, o irytacji nie wspominając, bo w tej aurze prosperowaliśmy dobrych parę lat. Spróbowałam jeszcze za około dwie godziny włączyć telewizor i wtedy ujrzeliśmy na ekranie generała Jaruzelskiego, który mówił o wprowadzeniu stanu wojennego i o WRON. Tłumaczył konieczność powołania Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego i wprowadzenia stanu wojennego, a w moim sercu budził się lęk i wstręt. Dokładnie odżyły w mojej pamięci przeżycia wojenne, strach, głód, bombardowania, ucieczka z rodzinnego miasta, niepewność jutra, ustawiczna prowizorka. Czy teraz też tak będzie? Bałam się. Syn miał jechać wieczorem do pracy w Warszawie, mój siostrzeniec, który był na studiach został powołany na trzy miesiące do wojska – do Rembertowa – na poligon. Mąż w poniedziałek jechał na konferencję do Poznania, ja miałam jak zwykle iść do pracy. Jak żyć? Tylko pociągi chodziły, komunikacji w obrębie miasta nie było. Wszyscy poruszali się pieszo. Ludzie tylko szli do pobliskich kościołów albo siedzieli w domu. Zarządzono godzinę policyjną, oznajmiono, że telefony i korespondencja będą kontrolowane, zapędzono obywateli w ślepy zaułek.

Nałożono kaganiec, jak wściekłym psom, odebrano wolność. To najbardziej bolało. W tę mroźną noc zomowskie suki podjeżdżały pod domy działaczy Solidarności i zabierały wprost z łóżek, niejednokrotnie w piżamach i narzuconych paltach ludzi, aby ich internować. Byli internowani w różnych miejscach Polski, przeważnie w odosobnionych ośrodkach wczasowych, więzieniach, domach sportu i rekreacji, a najsłynniejsza była Białoleka, ale o tym dowiadywaliśmy się później, z nielegalnego obiegu informacji i *Radia Solidarność*.

Na razie był strach, niemożność, pokonywanie na piechotę zaśnieżonych ulic Krakowa, aby dojść do pracy, wysłuchiwanie uwag partyjnego kadrowego, ponieważ tego poniedziałku prawie wszyscy byli spóźnieni. Dni najbliższe były straszne, wiadomości o zabitych górnikach w kopalni Wujek, łapanki organizowane na działaczy Solidarności tych, których nie udało się internować, brak w sklepach czegokolwiek do jedzenia, brak wszelkich dóbr potrzebnych do życia. Święta Bożego Narodzenia zapowiadały się źle, tym bardziej, że na podróż do domów nawet najbliższa rodzina musiała mieć pozwolenie, wydawane przez komisarza wojskowego. Komisarze ci obejmowali kierownicze stanowiska we wszystkich instytucjach państwowych, nie znając się na niczym, przeważnie byli to prymitywni wojskowi w randze pułkowników. Znałam taki przypadek, że kiedy zmarła w Krakowie matka mojej koleżanki, która mieszkała w Bielsku, to na pogrzeb pozwolono tylko jej pojechać, jej syna i męża nie puszczono z Bielska do Krakowa, nie dano im przepustek, nie tłumacząc przyczyny odmowy.

Musiałam żyć w tym świecie – o ile to możliwe spełniać swoje obowiązki, bo pracowałam, prowadziłam dom, mieliśmy dużo zaprzyjaźnionych osób, zależeliśmy od innych i sami stanowiliśmy dla innych ważny punkt ich egzystencji. W tym świecie pełnym chaosu i strachu, wstępu do spraw, które narastały, oburzenia i bezsilności, trzeba było codziennie rano wchodzić w otaczającą rzeczywistość i w niej żyć. Na szczęście nie należeliśmy do działaczy opozycyjnych, więc z pozoru nie groziły nam ostre represje, ale trzeba było tak postępować, by wytrzymać to wszystko, w czym uczestniczyliśmy. Zdobywać z wysiłkiem każdy dzień, marzyć o wolności i moralnym życiu.

Stale porównywałam życie podczas okupacji z życiem obecnym i jednak stan wojenny, wprowadzony przez ówczesne władze Polski, dla Polaków był lżejszy. Ale to osobny temat i dużo pytań należałoby przytoczyć. Nie będę tego czynić, to wszystko jest takie bolesne, a za oknami maj w rozkwicie i zapach dzikiego bzu.



Danuta Czerny-Sikora

Ćwiczenia warsztatowe – grupa Media

O sobie

Niby jest zodiakalnym Skorpionem, ale czy na pewno? Tego nie wie, ponieważ urodziła się o miesiąc za wcześnie. Dawano jej dwa dni życia, ale się uparła. Ta determinacja nie opuszcza jej do dziś. Danuta jest spontaniczna, cierpi na ADHD. Sprawy przyziemne, domowe ogarnia w dziesięć minut, przekonana święcie, że nikt na jej nagrobku nie musi pisać „utrzymywała kuchnię w idealnej czystości”. Resztę czasu poświęca na przyjemności, w ramach których na szczęście mieści się jej praca... Nasza bohaterka ma metr sześćdziesiąt cztery wzrostu, waży pięćdziesiąt cztery kilo i ma tyle lat, na ile wygląda. No, na tyle nie wygląda.

O sobie odwrotnie

Powolna, rusza się jak przysłowiowa „mucha w mazi”. Nie lubi tańczyć, raz wybrała się na *dancing* i przesiedziała cały wieczór w kącie. Uwielbia prace domowe. Nie cierpi swojego zawodu. Ojciec namawiał ją, żeby studiowała stomatologię. Danuta bardzo żałuje, że go nie posłuchała. Miałaby teraz kupę forsy i przyjemności. Nie lubi czytać. Kiedyś przeczytała jedną książkę i rozczarowana więcej już nie próbowała. Śmiertelnie nudzą ją podróże. Jest antysemityką i antyfeministką. Niedawno narozrabiała pod ambasadą rosyjską w Warszawie.

Sąsiad

- Zaraz z łazienki wyłoni się facet w samym ręczniku.
- Ha, ha – zaśmiał się mój mąż i zdębiał, gdy spojrzął za siebie.
- Wiedziałem, że dostanę po mordzie – ponuro wymamrotał sąsiad – Mam remont.



Zapach, który pamiętam

Zapach, który do dziś pamiętam – to zapach chleba pieczonego przez moją babcie w prawdziwym, chlebowym piecu. Zafascynowana przyglądałam się temu rytuałowi, przycupnąwszy na progu izby. Już o świcie pojawiała się ogromna, pękata dzieża, w niej powstawał najpierw zaczyn, potem ciasto, które odstawiano na bok, żeby podrosło... A kiedy już było gotowe, zaczynało się jego obrabianie, formowanie w krągłe bochny, które następnie wjeżdżały na długiej łopacie wprost do rozbuchanego ciepłym pieca... Po długim oczekiwaniu w powietrzu unosił się już cudowny zapach świeżego pieczywa, wypełniając smakowitą wonią każdy kącik małej izdebki.

– Chlebuś gotowy!

Babcia wydobywała rumiane bochenki z pieca i ostrożnie kładła je, jeden obok drugiego, na lnianej serwecie – żeby ostygły. Wreszcie, trzymając bochen, przytulała go jakby do serca i opierając na brzuchu, najpierw nabożnie kreśliła na nim nożem znak krzyża, a przeżegnawszy się dopiero zaczęła odkrawać kromki i układać je na stole... A jak ten chlebuś smakował! Piętka (zawsze dla mnie!) chrupka, smakowita, ozdobiona łyżką pulchnego masła (ucieranego w maślnicy) do dziś wzbudza we mnie tęsknotę za czymś, czego już nie ma – za minionym dzieciństwem...





Bożena Gutowska

Ćwiczenia warsztatowe – grupa Media

Ona, czyli ja

Przegląda się w lustrze – taki drogi krem, a zmarszczek przybywa. I włosy musi już podmalować. Nikt nie jest doskonały. Ale nie ma cellulitu – to genetycznie uwarunkowane. Nie miała babka, nie miała matka – to niby dlaczego ona miałaby mieć? Potem w kuchni – krótka rozmowa z ekspresem: „czarna, mocna, sto osiemdziesiąt mililitrów”. Z gracją wyjmuję mleczko z górnej półki w lodówce. Równolegle – pstryk pilotem i za moment komputer jest gotowy. Chwila na „pocztę”.

– Mamo, wpadnę na kolację, pożyczysz samochód?

– Pod warunkiem, że sprawdzisz olej i zatankujesz...

I krótka piłka:

– Dzięki, aż tak mi się nie śpieszy...

Potem prasówka, plotki... Czy to już uzależnienie? Nie, to tylko przyzwyczajenie. Uprawia ogród, seks i sport – w dowolnej kolejności. I te jej maksy: „prawdziwa dama nigdy się nie śpieszy i do twarzy jej w każdym kapeluszu”. Kobieta uporządkowana – z nadmiarem wolnego czasu...

Orchidea

Będę miał okazję spotkać się z nią na zjeździe absolwentów... Po tylu latach! Co mi się kołacze w pamięci?

Z niecierpliwością czekałem na poniedziałki. Staralem się być już na półpiętrze, żeby móc widzieć, jak wchodzi do instytutu. Popychała energicznie wahadłowe drzwi, roztaczając aurę „patrzcie – oto jestem”. Z gracją zdejmowała z ramienia swoje łyżwy, podawała portierowi. Potem szalik i czapkę upychała w rękawie kurtki i już była gotowa do kolejnych zajęć. Jeszcze tylko kilka słów do spotkanych przed salą wykładową kolegów i znikała. Rozpromieniona, optymistyczna... I potem ta udręka czekania, kiedy będzie zbiegać po schodach w szpilkach, przysiądać na samym brzegu parapetu, zakładając nogę na nogę. To wszystko pamiętam. Obserwowałem, jak świadomie zmienia się w kobietę. Subtelnie. Potrafiłem wydukać, jak bardzo jej pragnę, a nie odważyłem się powiedzieć, że moglibyśmy być razem... tak do końca. Zbywała mnie: „więcej uczucia – mniej pożądania”.

Raz tylko zwierzyła się, że jestem facetem, który jak zaprowadzi ją na skraj przepaści i powie – „skocz”, to ona skoczy... bała się tego. Czy to był brak wiary, że nie potrafiłem jeszcze być odpowiedzialny za drugiego człowieka, czy zwykła chęć wyszumienia się? To wstrętne – wykorzystałem pierwszą banalną okazję, żeby ją od siebie odtrącić... Moją orchideę...

Kolejność dziobania

W polskich miastach chodniki zajęte są przez parkujące, najczęściej na całej ich szerokości, auta. Pomiedzy nimi przeciskają się rowerzyści i piesi: z wózkami, bez wózków, z dziećmi prowadzonymi za rękę lub bez. Wszyscy spoglądają na siebie z uśmiechem lub ze złością – kto komu ustąpi miejsca?

Parę dni temu szłam z Osobą Towarzyszącą chodnikiem wzdłuż ulicy Lea, na wysokości szpitala MSW. Chodnik ciasno zastawiony wąskimi i szerokimi autami. Z przeciwnej strony jechała kobieta z dzieckiem w wózku. Niestety, nie mogła przejechać. Pasek chodnika zostawiony dla pieszych był zbyt wąski. Kobieta wycofała się i zjechała na jezdnię. Dobrze, że łaskawi kierowcy nie rozjechali jej i tylko trąbili, pokrzykując, że jezdnie nie jest miejscem dla pieszych, a wózek chociaż ma cztery koła nie jest autem, które może jeździć po jezdni. Kobieta milczała, uśmiechała się i wędrowała jezdnią dalej.

Ja tak radosna, pomimo miłego towarzystwa i nareszcie ładnej wiosennej pogody, raczej nie byłam. Tym bardziej, że niewiele kroków za kobietą i jej wózkiem maszerowało dwóch rostrych mężczyzn, ubranych w czarne, wywątowane uniformy z bronią przy pasach. Szli gęsiego. Niczego nie zauważyli? Mimo sprzeciwu Osoby Towarzyszącej zatrzymałam ich i uprzejmie zapytałam, czy sytuacja, której byli świadkami, nie zdziwiła ich? Osoby w uniformach nie zapomniały języka w buzi i usłyszałam groźne:

– Dowodzik poprosimy.

W żadnym wypadku nie była to prośba. Czyżby pomylili mnie z kierowcami zaparkowanych na chodniku aut? Roześmiałam się w głos. Dla równowagi grzecznie poprosiłam moich interlokutorów o numery służbowe. Zaniemó-

wili, ale tylko na chwilę, bo oto do stojącej czterema kołami na chodniku dużej „miejskiej terenówki” podszedł kierowca. Natychmiast stracili zainteresowanie moją osobą i zwrócili się do niego. Nie słuchałam, co działo się dalej. Była przecież piękna wiosna, obok kwitły bzy, a mnie przypomniła się bajka o kolejności dziobania.



Urszula Jaksik

Ćwiczenie warsztatowe – grupa Proza

Kosmita

Janka spieszyła się. Chciała wziąć prysznic, przebrać się w piżamkę, zrobić sobie herbatkę, kanapki i zdążyć z tym wszystkim na swoje seriale. Dzisiaj maraton: *Barwy szczęścia*, *M jak miłość* i *Doktorzy*. Odkąd tak ułożyli program telewizyjny polubiła poniedziałki.

Nagle poczuła gwałtowne szarpnięcie. Ktoś wyrwał jej torebkę. Gdy się odwróciła, poczuła silne pchnięcie i upadła na osiedlowy trawnik. Już miała krzyknąć z bólu, gdy jakaś dłoń zdławiła jej usta, a napastnik ważący tonę usiadł na niej okrakiem. – Bądź cicho, to może cię nie zabiję! – wycharczał. Próbowała się szarpać, ale ból przeszywający udo wstrzymał jej oddech. Była pewna, że bandyta złamał jej nogę. Bandzior przygniatał jej twarz lewą ręką, a prawą zaczął manipulować przy spodniach. Przeżona złapała jego kaptur naciągnięty na głowę i ściągnęła go. Natychmiast otrzymała silne uderzenie w twarz, nie zdążyła zobaczyć napastnika.

Nagle poczuła, że dzieje się coś niepojętego. Odzyskała oddech, ponieważ mężczyzna zerwał się na nogi i zaczął kręcić się wokół swojej osi. Charczał przy tym strasznie, próbując jednocześnie uwolnić się od czegoś, co oplatało mu głowę i szyję. Poderwała się na nogi i nie oglądając się pobiegła w stronę klatki schodowej. Nerwowo wystukała kod dostępu i zanim drzwi puściły obejrzała się za siebie. Napastnik klęczał na ulicy, obydwoma rękami próbował uwolnić swoją szyję, na szczęście bezskutecznie. Zanim zatrzasnęła z hukiem drzwi stwierdziła, że bandziora zaatakowało jakieś włochate zwierzę.

Wbiegła na schody i zatrzymała się dopiero przed swoim mieszkaniem. Drżącymi rękami wyjęła klucze z kieszeni kurtki, a chwilę później z ulgą zamknęła solidne, antywłamaniowe drzwi na wszystkie trzy zamki. Serce waliło jej jak

oszalała, pobiegła do łazienki by zwymiotować. Ochlapała twarz wodą i osłonięta miękkim ręcznikiem podeszła do okna w pokoju. Widziała stamtąd mały parking i trawnik, na którym została zaatakowana. Nikogo nie było. Spokój. Teraz sama nie mogła uwierzyć w to, co jej się przytrafiło. Powinna zadzwonić na policję, ale telefon był w torebce. No właśnie, torebka, a w niej wszystkie dokumenty i karty bankomatowe! Jeszcze raz zlustrowała dokładnie teren oświetlony przez lampy. Torebki nie było. Na co ona głupia liczyła?

Usiadła w fotelu, włączyła telewizor, próbowała skupić się na treści serialu, bezskutecznie. Czuła się fatalnie, obolała i bardzo nieszczęśliwa. Samotność, która do tej pory wydawała się najlepszym sposobem na życie, pokazała jej swoją najgorszą stronę. Wiedziała, że powinna przede wszystkim zablokować swoje karty, ale nie wyobrażała sobie, by mogła w tej chwili opuścić mieszkanie. Poszła do kuchni zrobić sobie herbatę. W przedpokoju poczuła, że ktoś stoi za jej drzwiami. Nikt nie zadzwonił, ani nie zapukał, nic nie stuknęło, nie zaszurało, a jednak była pewna, że ktoś tam stoi. Prerażona cichutko podeszła do drzwi i popatrzyła przez wizjer. Pusto, nie było nikogo. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała.

Naprawdę nikogo nie było. A jednak w niej rosła pewność, że coś jest za drzwiami. Ta niepewność była straszna. Delikatnie założyła łańcuch i powoli otworzyła jeden po drugim wszystkie zamki, cały czas lustrując przez wizjer klatkę schodową. W końcu się zdecydowała, uchyliła drzwi. Na wycieraczkę stała jej torebka. Zaskoczona już wyciągała po nią rękę, gdy zauważyła przytulony do niej kawałek futerka w kolorze brązowo-rudym. Bardzo przypominał jej Filusia, kochanego pieska sprzed lat. Cofnęła rękę i cichutko zagwizdała. Futerko nie zareagowało. Nie zauważyła też pyszczka, ogonka ani łapek. Jeszcze raz rozejrzała się po pustym korytarzu i szybko zabrała torebkę wraz z przyklejonym do niej futrzakiem. Zatrzasnęła drzwi i pozamykała wszystkie zamki. W chwilę później ze zdziwieniem zauważyła, że futrzak leżał już w pokoju na jej kanapie. – Kiedy to zrobiłeś, spryciarzu? Szybki jesteś – zauważyła. Nie otrzymała odpowiedzi. Machnęła na niego ręką i zajęła się torebką. Sprawdziła wszystkie kieszonki, niczego nie brakowało. Odzyskała telefon, dokumenty i nietknięty portfel. Odetchnęła z ulgą.

W telewizji pojawiła się czołówka kolejnego serialu, ale Janka nie zwróciła na to uwagi. Jej życie było znacznie ciekawsze. Patrzyła na to coś leżące spokojnie na jej kanapie i ciekawość walczyła w niej ze strachem. To coś absolutnie nie wyglądało groźnie, a było. Uratowało jej życie. Wolą nie myśleć, co by się z nią stało, gdyby nie to?

– Słuchaj, chciałam ci podziękować, byłeś wspaniały, a może wspaniała?

Cisza.

– Musisz mi jakoś powiedzieć kim jesteś, bo oszaleję – poprosiła. – nie wiem, co mam robić, co myśleć?

– ...

– Może ja śnię i wystarczy się obudzić? – pomyślała. Powinam się uszczypnąć? Bzdura! Całe ciało miała obolałe, ten napad na pewno nie był snem.

– Widzę, że nie porozmawiamy, czy mogę cię dotknąć? – poprosiła. – Nie zrobisz mi krzywdy, prawda?

– ...

Usiadła na drugim końcu kanapy. Położyła przed siebie obydwie dłonie i obróciła je kilka razy, raz wierzchem, a raz spodem.

– To są moje dłonie – tłumaczyła – Za chwilę cię delikatnie dotknę, jak tego nie chcesz to daj mi jakiś znak.

– ...

Przesiadła się bliżej, nic. Jeszcze bliżej. W końcu delikatnie dotknęła futerka. Było mięciutkie i milutkie. Gładziła je z coraz większą przyjemnością. Znowu pomyślała o Filusiu. Nie wyczuwała jednak żadnych mięśni, kształtów, ciepła, bicia serca, oddechu. Próbowała go podnieść, ale natrafiła na opór więc zrezygnowała.

– Czyżby on nie był z tego świata? – pomyślała. – Kosmita? Bzdura! Nigdy nie lubiła fantastyki. Dziwiła się, że dorośli, inteligentni ludzie pasjonowali się życiem stworów z innych galaktyk. Nie oglądała też filmów o krwiożerczych istotach z kosmosu. No, może z wyjątkiem *E.T.* i *Alfa*.

– Jesteś z kosmosu? – spytała wprost.

– Tak.

Zdrętwiała z wrażenia, ręka zawisała w powietrzu nad futrzakiem. Ma halucynacje? Głosu na pewno nie usłyszała, ale wiadomość do niej dotarła.

– Skąd jesteś?

– Z kosmosu.

– Po co przyleciałeś?

– Mam misję do spełnienia.

– Pokojową, mam nadzieję?

– ...

– No, coś ty, chyba nie chcecie zniszczyć naszej Ziemi?!

– Nie.

– Uf – odetchnęła z ulgą. – Rozmowny to ty nie jesteś. Ale, ale. Jak to się dzieje, że my rozmawiamy? Znasz język polski? W filmach wszyscy kosmici mówią po angielsku.

– Nie rozmawiamy, w waszym rozumieniu.

– Aha, telepatia. Czytasz moje myśli?

– Nie.

– Nie? No dobrze, nie chcesz, to nie mów. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że bardzo jestem ci wdzięczna za to, że mnie uratowałeś.

– Wiem.

– Ty wszystko wiesz, ale ja nic nie wiem o tobie – zniecierpliwiła się.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Naprawdę?! – ucieszyła się. – To świetnie, najlepiej od razu wyrównać rachunki, przysługa za przysługę.

– Muszę znaleźć takie miejsce: Willa Decjusza.

– To nie problem, mam internet, zaraz sprawdzimy. Wy też macie internet?

- Nie. To zbyt prymitywne.
 - Rozumiem. To tak jak dla nas jaskiniowcy. A co ciekawego jest w tej Willi?
 - Kod poezji.
 - Skąd wiesz?
 - Udało nam się przechwycić ducha Szymborskiej, ale nie miała kodu. Nie mogła go zabrać ze sobą. Ukryła go, by odrodził się w następnym pokoleniu. Tyle lat czekaliśmy, aż poetka opuści Ziemię i wszystko na nic.
 - I myślisz, że tam, w tej Willi go znajdziecie?
 - Tak nam powiedziała.
- Janka poczuła się bardzo zmęczona. Za dużo tego wszystkiego na jeden wieczór.
- Słuchaj, bardzo się śpieszysz? Jest noc, odłóżmy to na później. Może jesteś głodny, chcesz pić?
 - Nie.
 - Ale ja jestem. Zrobimy tak. Wezmę prysznic, zrobię sobie herbatę, coś zjem, a później znajdziemy tę Willę w internecie, okey?
 - Dobrze.

Szybko zamknęła się w łazience i puściła wodę. Rozebrała się i weszła pod prysznic. To coś czytało jej myśli, musi jakoś mu zakłócić odbiór, szum wody spadającej na jej głowę powinien zadziałać. Musiała przemyśleć problem.

Noblistka, Wisława Szymborska umarła. Jej duch został przechwycony przez kosmitów, którzy myśleli, że tajemnicę pisania wierszy zabrała do grobu. Tymczasem okazało się, że to tak nie działa. Duch poezji zostaje na Ziemi i przypada w udziale następnemu poecie. Dlaczego kosmitom tak bardzo zależy na poezji? Bo ludziom na Ziemi, niestety, nie. Poetów się wyśmiewa, tępi i traktuje jak darmozjadów. Kto ma dzisiaj czas i ochotę na czytanie poezji? Niewielu. A wygląda na to, że kosmici uznali umiejętności naszych wieszczów za najcenniejsze i bardzo chcą je zagarnąć dla siebie. Co nam pozostanie, gdy duch poezji zniknie z naszej planety? No i następna sprawa, dlaczego właśnie ona ma podjąć tak ważną dla ludzkości decyzję? W końcu jest tylko bibliotekarką, która kocha poezję i nie chce by ludzie stracili ten dar, chociaż widzi, że nie cenią jej wcale. Z drugiej strony jak nie odamy jej w dobre ręce, a sami zniszczymy, to w sumie nikt nie skorzysta. Co zrobić, pokazać mu drogę czy nie?

Było jej bardzo przykro. Takie dobre stworzenie prosiło ją o pomoc. Zrobiło dla niej więcej niż ktokolwiek inny w jej życiu. Była mu winna przysługę. I musi mu odmówić?! Oj, Janka, ty nie bądź taka naiwna. Ty myślisz, że na taką misję wysłali tylko jego jednego? Może to cała inwazja kosmitów? Jak nie ten to inny dotrze na miejsce. Trafiają bez twoich wskazówek, wcześniej czy później. Ale może o to chodzi, by później? Najtrudniejsze zadanie w życiu, to podjęcie właściwej decyzji.

Janka zakręciła wodę bardzo z siebie zadowolona. Znalazła rozwiązanie tej trudnej sytuacji. Kosmita dotrze do Willi Decjusza, bez jej udziału, ponieważ czternastu uczestników Projektu Saga zrobi wszystko, by mu wskazać właściwą drogę. W pokoju już nikt na nią nie czekał, kanapa była pusta.





Jadwiga Jamińska

Ćwiczenia warsztatowe – grupa Media

Nasza wychowawczyni

Kiedy odszedł ukochany wychowawca-matematyk, naszą klasę przejęła pani Broniewska. Uczyła nas już wcześniej instrumentoznawstwa z akustyką. Wtedy daliśmy jej przezwisko Struna, bowiem bezwzględnie wymagała pamięciowej znajomości definicji dźwięku: „Dźwięk jest zjawiskiem złożonym, składa się z tonów prostych, alikwotów, bo struna drgając dzieli się samorzutnie w stosunku 1:2:3:4”.

Była niezapomnianą nauczycielką. Gdy wchodziła do klasy, zapadała niewymuszona cisza. Zwracała się do nas, piętnastoletnich przez „pani” i „pan”. Kiedy paru nauczycieli skarżyło się na arogancję Olka, przyjaźnie, jak do równego sobie, powiedziała: „Panie Oleczku, inna melodia”. Rozumiała młodzież, szanowała każdego ucznia i wychowywała nas dając przykład.

Co mnie oburza

Oburza mnie postawa krytyczna niektórych osób wobec innych ludzi, dotycząca różnic politycznych, światopoglądowych, orientacji seksualnych i innych; ich brak szacunku dla odmienności, jakby mieli monopol na rację i nie potrafili tolerować bliźnich.

Oburza mnie ich niechęć, czasem nienawiść do kogoś, kto zwraca uwagę na niewłaściwość takiej postawy. Nie jest możliwe, aby inni mogli kształtować swoje uczucia czy sposób postępowania według wymogów tych, którzy chętnie narzuciliby swój punkt widzenia i swoje przekonania.

Starość zaczyna się...

Starość zaczyna się kiedy, przestajemy się bawić. Kiedy wypełniamy życie – godziny, dni, tygodnie – rutynowymi zajęciami, które nas nie cieszą, przymuszamy się do obowiązków, gaśnie w nas spontaniczność i zainteresowanie światem, tym co może nas spotkać po wyjściu z domu.

Przed starzeniem się broni nas działanie w grupie o różnych zainteresowaniach. Najlepiej żeby były w niej nie tylko osoby w podobnym, średnim czy starszym wieku, ale też młodszy od nas i całkiem młodzi. Pozwólmy im traktować nas jak rówieśników, zwracać się do nas po imieniu, przez „ty”.

Nie przejmujmy się dolegliwościami i ograniczeniami fizycznymi, jest wiele młodych osób z niepełnosprawnością, które potrafią się cieszyć życiem i korzystać z rozrywek. Prof. Walery Goetel w swojej książce *Pod znakiem optymizmu* zapisał słowa górala:

„Panie, ja nie tyle stary, co dawny”.



Aldona Kawa

Ćwiczenia warsztatowe – grupa Media

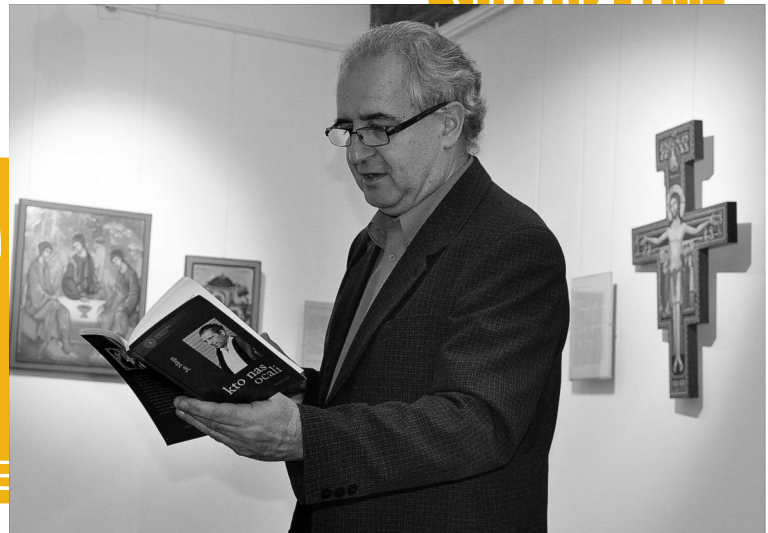
Chrzcziny

Każde działanie powiedzie się, jeśli jest starannie zaplanowane.

Już byliśmy tak niedaleko, z rzadka tylko wyprzedzając Czechów, którzy jadą czterdzieści kilometrów na godzinę przy całkowicie pustej drodze, bo takie było ograniczenie prędkości. Mamy czas i dlatego tylko trochę zaniepokoiłiśmy się przy blokadzie drogi z powodu wyścigu kolarskiego. Mija nas ostatni kolarz. Czas coś za szybko upływa. Prawie dojeżdżamy i przed nami korek. Ruch wahadłowy. Długie wahadło. Dojeżdżamy. Syn przez telefon szeptem opisuje najkrótszą drogę do kościoła. Wybieramy jeszcze krótszą. Kościół zamknięty. Syn mówi, że nie mogą dłużej czekać, msza się zaczyna. Zawracamy. Pytamy przygodną parę o drugi kościół, nie wiedzą. Zaczepiam chłopca przy chałupie. Wskazuje kościół po drugiej stronie góry. Wreszcie, na palcach, wchodzimy do kościoła. Wszyscy się odwracają. Wnuk jest już ochrzczony. Ma na imię Martin.

Ustawa o niespożywaniu wyrobów czekoladowych

Nareszcie doczekaliśmy się ustawy z prawdziwego zdarzenia. Czekali na nią wszyscy, za wyjątkiem cukrzyków, bo oni z przyjemnością nie spożywają czekolady. W ostatnich dniach zaobserwowano spontaniczne akcje opróżniania kieszeni, plecaków i tajnych schowków przez dzieci i młodzież. Nauczyciele informują, że nie pamiętają tak radosnej atmosfery w szkołach. Drodzy politycy! Tego nam trzeba! Więcej ustaw, które wywołują efekt rozwolnienia.





Izabella Kobuszewska

Ćwiczenia warsztatowe – grupa Media

Zapachy z dzieciństwa

Ulubione – utracone:

zapach świeżo pastowanej podłogi; piekarni, do której nosiliśmy wieczorem świąteczne ciasto, aby piekło się w olbrzymim piecu chlebowym; majowych konwalii zbieranych w lesie w Białym Borze; wędzarni i wędzonych smakołyków; poziomek zbieranych na wakacjach; wiśniowego sadu i nalewki wiśniowej Cioci Stasi; perfum mamy *Suar de Paris*; jeziora, lasu i łąk wokół miasteczka, gdzie się urodziłam; choinki przynieszonej w Wigilię prosto z lasu.

Znieulubione:

zapach mleka, często przypalonego; kaszki manny na gęsto, podawanej na podwieczorek.

Ulubione buty

Jest rok 1986. Lipiec. Ląduję w USA. Upał. Czterdzieści stopni Celsjusza. Wilgotność powietrza dziewięćdziesiąt cztery procent! Piękne Madison tonie w kwiatach i soczystej zieleni. Kampus, ulice, biblioteki pełne są ludzi w szortach, T-shirtach i klapkach. Ja elegancka, w białym lnianym kostiumie i letnich czółenkach pocę się i prawie gotuję. Po dwóch dniach upodabnam się do otoczenia i paraduję w szortach, podkoszulku i sandałach – kierpcach, które nie bardzo przypadły do gustu mojej siostrze.

Leniuchujemy nad jeziorem na pomoście przez wiele godzin. Gdy dobrze po północy pakujemy się do domu, naszą uwagę przykuwają dziwne odgłosy. Wszyscy skonsternowani rozglądają się uważnie. Prawie uciekamy z pomostu, ale skrzypienie wciąż słychać! Rozpakowujemy bagaże, szukając jakiegoś potwora lub niebezpiecznego zwierza. Wreszcie opadamy z sił. Idziemy do samochodu, a skrzypienie waz z nami.

– Zgadnijcie, co to było?

– To były odgłosy moich nasiąkniętych wilgocią sandałów!

Żartom na temat „gadających butów” z Polski nie było końca.



Maria Kolowca

Ćwiczenie warsztatowe – grupa Proza

Wydaje mi się, że...

Wydaje mi się, że mieszkam w najpiękniejszym miejscu na ziemi. To duży ogród. Pośrodku króluje soczyście zielony trawnik. Okolony jest różnymi krzewami. Kwitną w różnych porach roku. Za nimi następny rząd drzew: brzozy, sosny, derenie. Nie wszystkie potrafię nazwać. Jedne są duże, inne niższe. Pomiędzy krzewami moja Ogrodniczka posadziła grupy kwiatów. W moim ogrodzie cały rok coś się dzieje: rośliny kwitną, przekwitają, potem wydają owoce i nasiona. Niektóre zamierają na zimę, aby znów obudzić się wczesną wiosną – to zupełnie tak jak ja.

Rosnę sobie w grupce kwiatów. Ogrodniczka przyłożyła się, aby zapewnić mi jak najlepsze warunki. Pode mną jest warstwa gruzu, po to żebym czasem nie zgniła, aby nadmiar wody mógł swobodnie odpływać. Słyszałam też, że w niektórych ogrodach kwiaty są ścinane na wiązanki. Dla mnie to niepojęte. Jak ludzie mogą podziwiać martwe istoty? Wiem, że kiedy ogrodnik idzie z nożem lub sekatorem w ręce, całe moje koleżeństwo drży ze strachu. Nieraz rzeczywiście trzeba przyciąć jakieś gałązki lub przekwitnięte pędy, ale żeby wycinać kwiaty w pełni rozkwitu? Całe szczęście, że u nas to się nie zdarza, a ja nie narzekam na brak troski, wręcz przeciwnie.

Trudno mi sobie wyobrazić piękniejsze miejsce. Muszę dodać, że rosnę nad niewielkim oczkiem wodnym. Rozkoszuję się ogrodowymi zapachami, podziwiam motyle, trzmiele, pszczoły, ważki, złote rybki w stawiku. W koronach drzew śpiewają ptaki... Najbardziej lubię wczesne ranki, gdy nikogo nie ma w ogrodzie, słońce dopiero wstaje, a ja dosłownie kąpię się w rosie. Uwielbiam też lekki deszczyk. Wtedy wszystko jest przymglone i niezwykle romantyczne.

Ogrodniczka co jakiś czas podlewa mnie konewką. Wyczuwam, że to nie sama woda, tam musi być coś jeszcze. To jest bardzo smaczne. Aby utrzymać jako taki porządek w ogrodzie, Ogrodniczka musi się sporo napracować. Trzeba

przycinać, nawozić, podlewać, pomiędzy kwiatami spulchniać glebę i wrywać chwasty. Zawsze jednak znajdzie czas, aby mnie odwiedzić. Często duża Ogrodniczka przyprawia małą. Kucają koło mnie, głaszczą moje listki, podziwiają, mówią czule. Jak ja to lubię!

Dni mijają, ja rosnę. Zaczyna się lato i nastają upały. Widzę już o wiele więcej niż wtedy, gdy dopiero wychodziłam z ziemi. Pewnego dnia pąki na mojej łodydze pękają i rozkwitają. Kwiaty mam ogromne, białe ze złocistym środkiem i brązowymi pylnikami. Podobno oszałamiająco pachną. I wtedy mamy wyjątkowego gościa. Przychodzi zaprzyjaźniony pan. Czuję, że to duży autorytet dla mojej Ogrodniczki. Staje koło mnie, a do niej mówi: „z pani to czarodziejka, jak to możliwe, przecież ta lilia królewska jest dwa razy wyższa, niż powinna być”.

Jestem szczęśliwa i moja Ogrodniczka też. I wiem jedno: pielęgnacja to ważna sprawa, ale to miłość, którą dostałam, sprawiła, że jestem taka piękna.



Anna Kołodziejczyk

Recenzja książki Angeliki Kuźniak *Papusza* oraz refleksje po Salonie Literackim z autorką, zorganizowanym w ramach projektu Saga.

Historia o innej – Papusza

Tytułowa Papusza to Bronisława Wajs – cygańska poetka odkryta przez Jerzego Ficowskiego w 1949 roku. podczas jego wędrówek z taborem cygańskim – uznana przez obcych, a wyklęta przez swoich. Dramatyczne losy bohaterki nakreślone są na szerszym tle historyczno-obyczajowym grupy Cyganów polskich w przełomowym okresie ich dziejów, tj. przed i po II wojnie światowej.

Autorka mówi o swojej książce: „...piszę o Cyganach, cygańskich obyczajach i cygańskim świecie. Piszę o osiemdziesięciu latach współistnienia Polaków i Cyganów. Piszę o silnej kobiecie, bo taką Papusza była. Wbrew wszystkiemu, co ją spotkało w życiu: bezdzietność, wykluczenie, «przeklęta nadwrażliwość»”.

Wiersze Papuszy, właściwie „piosenki” – bo tak o nich mówiła – przetłumaczone przez Ficowskiego na język polski, znalazły uznanie wśród literatów m.in. J. Tuwima, J. Przybosia, co zaowocowało przyjęciem Papuszy w 1962 roku do Związku Literatów Polskich. Natomiast opublikowany w 1950 roku. wywiad J. Ficowskiego z J. Tuwimem w *Problemach* i wydana w 1953 roku. książka *Cyganie polscy*, gdzie zamieszcza fragment pamiętnika Papuszy i kilka jej wierszy, spowodowały ze strony Cyganów ostre ataki pod adresem poetki i oskarżenie jej o zdradę. Postać głównej bohaterki jest pełna sprzeczności: silna, ale nadwrażliwa, dumna ze swoich wierszy i zawstydzona ich prostotą. Nie rozumie, co w nich wielkiego, skoro dla niej są naturalne jak szum drzew i śpiew ptaków. Pogodzona z losem i osamotnieniem broni do końca swego dobrego imienia. Będąc Cyganką czuje się zawsze Polką, co z dumą podkreśla.

Tworząc opowieść o Papuszy, autorka korzystała z wielu dokumentów, artykułów prasowych, pamiętnika Papuszy, listów i nagranych wywiadów oraz rozmów z poetką, w tym z archiwum Jerzego Ficowskiego. Książkę rozpo-

czyzna monolog Papuszy, w którym rozbrzmiewa skarga na samotność: „Cztery dni umierałam z głodu. Nikt do mnie nie przyszedł.” Dramat napiętnowana i odrzucenia za swoją odmienność, inność odczuwa Papusza do końca życia: „Z taboru byłam, teraz znikąd jestem... i stało się teraz, że nigdzie nie należę. Cygany stronią ode mnie, odgrodzili się i milczą.”

Papusza była „inna”, jako cygańska kobieta sama nauczyła się czytać i pisać. Była poetką uznaną przez autorytety, ale nie przez swoje środowisko. W kompozycji książki wyodrębniają się dwie części, podobnie jak w życiu Papuszy dwa okresy jej życia. Przejawia się to w odmiennych stylach narracji.

W części pierwszej opowieści Papuszy o swoim życiu, jej wspomnienia z okresu wędrowania z taborem przed wojną ukazane są w formie zbeletryzowanej, słowami Papuszy tak sugestywnymi, że niemal słyszy się jej chropowaty głos z charakterystycznym cygańskim i kresowym zacięciem. Na tym tle na uwagę zasługują bardzo wyważone relacje z okresu wojny, ukrywania się na Wołyniu. Oszczędne w słowach, podkreślone cytatami wierszy Papuszy, są przejmującym świadectwem ludobójstwa Cyganów. W drugiej części narracja autorki ma charakter niemal informacyjny. Sprawia to wrażenie pewnego osłabienia napięcia dramaturgicznego, które dotąd towarzyszyło czytelnikowi od pierwszych stron książki.

Choć Angelika Kuźniak nigdy nie poznała Papuszy osobiście, to z zebranych materiałów i godzin nagrań oddała autentyczną, złożoną postać kobiety cygańskiej oraz jej otoczenia.

I na koniec o okładce, którą stanowi zdjęcie autorstwa Agnieszki Traczewskiej. Wyraża bezradność i gniew, strach i cierpienie, które prowadzą do ucieczki w głąb samej siebie.



Andrzej Lelito

Ćwiczenie warsztatowe – grupa Proza

Koksownik

Plener. Dzień. Zima.

Przestronny plac gdzieś w mieście. Przy koksowniku stoi trzech mężczyzn. Dwóch emerytów obok siebie, znajomi. Nieco z boku młody człowiek – student, je hot-doga. W koksowniku mocny ogień.

Emeryt I

Zdychu... pamiętasz?

Emeryt II

Coo... niby?

Emeryt I

Jak to co? Koksowniki. Robiliśmy takie zawody... kto odważny?

Emeryt II

Jakie zawody? O czym ty mówisz... Marian?

Emeryt I

Noo... jak się ZOMO-wcy grzali przy koksownikach, to trzeba było podejść, wyciągnąć zgrabiące dłonie przed siebie, że... niby też się chcesz ogrzać.

Emeryt II
I co oni na to?

Emeryt I
Ano właśnie. Cały wic polegał na tym, żeby stać koło nich, nic nie mówić i grzać się jak gdyby nigdy nic.

Emeryt II
Ee... coś mi tu zalewasz. Ile razy tak się „niby” grzałeś?

Rozmowie zaczyna się przysłuchiwać student. Z jego sarkastycznego uśmiechu widać, że nie bardzo wierzy w te opowieści. Nie śmieje się jednak otwarcie, może dlatego, że usta ma zapchane hot-dogiem.

Emeryt I
No... dwa razy. Pierwszy raz udawali, że mnie nie widzą. Staliśmy sobie tak ramię w ramię. Założyłem się z chłopakami, że wytrzymam tak trzy minuty, ale po dwóch nie wytrzymałem, parsknąłem śmiechem i zwałem.

Emeryt II
Też mi bohaterstwo!? Postąłeś se dwie minuty z ZOMO-wcami przy koksowniku i...

Emeryt I
Ale za drugim razem, jak tylko stanąłem koło koksownika, to akurat z sukki wysiadł taki gruby sierżant. Musieli w tej suce ostro grzać, bo jak podszedł, to czułem wódę od niego. Chciał mnie wylegitymować. Zacząłem uciekać, ale mnie dopadli i spałowali.

Student skończył jeść hot-doga i patrzy z rozbawieniem na emerytów.

Student
Przepraszam panów, ale jak słyszę takie opowieści, to dochodzę do wniosku, że cały ten stan wojenny to były jakieś niezłe jaja.

Emeryt I
Co ty tam wiesz... młody? Nie przeżyłeś tego...

Chwilę stoją w milczeniu. W końcu dwaj emeryci i student rozchodzą się w dwóch przeciwnych kierunkach.



Anna Maria Michalik

Ćwiczenie warsztatowe – grupa Media

Kiedy byłam mała...

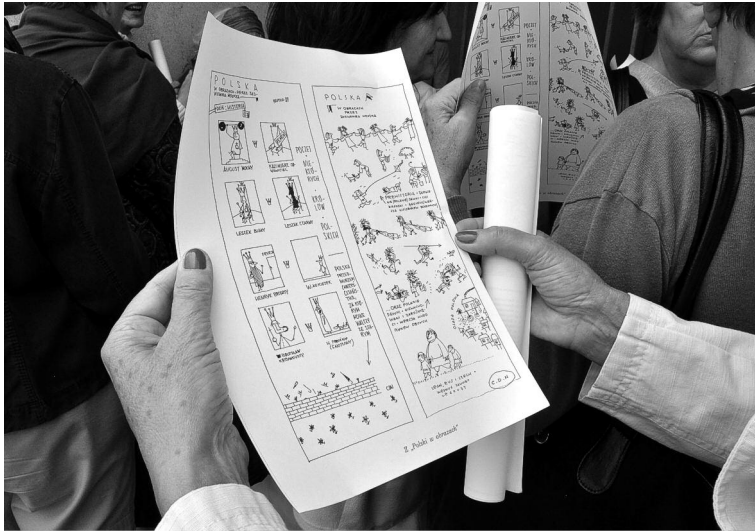
Kiedy byłam mała, świat układał się w obrazy, które tkwią we mnie do dziś. Oto najtrwalszy z nich.

Promienie słoneczka zastukały do małej izdebki i figlarnym muśnięciem obudziły małą istotkę. Drobną dłonią przetarła oczka i od razu jej wzrok padł na sąsiednie łóżko, ale tam pozostał już tylko ślad czyjejs obecności. Dziewczynka podniosła się. Jej małe stopy dotknęły zimnego klepiska, stanęła nieco bezradna na środku opustoszałej już izby...

– Babcia... – cichy szept uwiązał jej w gardle. Ale babcia usłyszała. Jej głowa pojawiła się w drzwiach i uśmiech rozjaśnił małą twarzyczkę dziewczynki. Szybko znalazła się w ramionach starszej kobiety. – To dzisiaj? – zapytała cicho, tuląc się do drobnej postaci starszej kobiety – Babciu, dzisiaj? – Tak maleńka, dzisiaj... – głos babci zabrzmiał miłą, znaną tonacją, a jednak było w nim słyhać jakiś niepokój...

To był ten dzień. Ciepły, wiosenny dzień majowy. Los małej dziewczynki miał się odmienić. Z dalekiej, podtarnowskiej wsi wyruszała w wielki świat królewskiego miasta Krakowa. Miała niespełna pięć lat. O jej losie postanowili dorośli... rodzice. Mały dom ukryty w lasach od tej chwili przestawał być jej domem. Wiedziała już wszystko, rodzice wytłumaczyli jej. Jechała do ukochanego wujka – to z nim przemierzała pobliskie lasy w poszukiwaniu lisich norek. Jej maleńkie serduszko pełne było radości i entuzjazmu...

Tylko... dlaczego oczy jej ukochanej babci pełne łez?





Antoni Niedziałkowski

Ćwiczenia warsztatowe – grupa Media

Barbarella słoneczna

Gdy odwiedzam moją córkę Magdalенę, powtarza się pewien rytuał. Magda otwiera mi drzwi, witamy się, a następnie rozglądam się po mieszkaniu, szukając wnuczki. Gdzie jest, czym się zajmuje? Mówię coś głośno, by zwrócić na siebie Jej uwagę. Nagle widzę Ją, siedzi na dywanie z klockiem w rączce. Patrzę na Nią, Ona podnosi głowę, nasze spojrzenia się spotykają. Patrzymy sobie w oczy. W jej oczach pojawia się uśmiech, który następnie ogarnia całą buźkę, śmieje się, głośno coś gaworzy i wędruje w moją stronę. Ten moment pierwszego wzrokowego kontaktu i rodzący się uśmiech na Jej twarzy jest zachwycający. Jest ciepły i dobry jak słońce. Podobnie jak mnie Basia wita wszystkich, z małym wyjątkiem. Tym wyjątkiem jest jej czteroletni braciszek Rysiu, dla którego dodatkowo zarezerwowane są przejawy radości wyrażane całym ciałem. Gdy obserwuję moje wnuki, zachwyca mnie ich naturalność, spontaniczność i niewyczerpana energia, a przede wszystkim ich radość z samego istnienia. Smutno mi czasem, gdy pomyślę, że ten prawdziwy, naturalny, instynktowny stan nie będzie trwał wiecznie. Już niedługo, przedwcześnie, w wieku sześciu lat, pójdą do szkoły, potem do gimnazjum i liceum. Po drodze zapewne spotkają dobrych i mądrych dorosłych, ale spotkają też i złych. Takich, którzy pokażą im świat nienawiści, nietolerancji, przemocy i gwałtu. Czy przekonają je do tego świata? Mam nadzieję, że nie. Wierzę w kapitał, jaki wyniosą z dzieciństwa spędzonego w licznej, kochającej się rodzinie, wychowani przez rodziców poświęcających im dużo czasu. Wspólne rodzinne rozmowy, zabawy, wyjazdy, razem wykonywane prace domowe czy biwakowe, przebywanie wśród różnych ludzi, dadzą im wystarczający zasób miłości i mądrości na drogę do dorosłego, samodzielnego życia. Wierzę, że moja dziesięcioletnia wnuczka Barbarella – jak ją nazywa jej braciszek Rysiu – zawsze będzie słonecznie uśmiechnięta.

Samounicestwienie legendy

Szlag mnie trafił po ostatnich wypowiedziach Prezydenta Lecha Wałęsy związanych z Henryką Krzywonos i Bogdanem Borusewiczem. Zarozumialstwo, buta i brak pokory Lecha Wałęsy jest już nie do wytrzymania. Zwłaszcza zapowiedź „odkrywania innych, niemiłych stron historii” oraz jego stwierdzenie, że „ma gdzieś swoją legendę”.

Czy ten człowiek nie rozumie, że jego legenda, Pokojowa Nagroda Nobla, stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej, ogromne zainteresowanie oraz szacunek w Polsce i na świecie nie są tylko jego indywidualną zasługą i własnością? To, że miał normalnie prowadzony dom i wychowaną gromadkę dzieci jest zasługą przede wszystkim jego żony Danuty. Z jakimi wyzwaniem i problemami musiała się zmagać samotnie, zdradziła w autobiograficznych *Marzeniach i tajemnicach*. Z kolei wszystko, co wydarzyło się od chwili, gdy „przeskoczył przez płot Stoczni”, mógł osiągnąć dzięki doradcom i współuczestnikom strajku oraz zaangażowaniu, poparciu i działaniu milionów Polaków. On ikona Solidarności, legenda walki o wolną Polskę dostał ogromny kapitał zaufania i życzliwości od Narodu. Dostał też szansę na pozostanie w historii Wielkim Polakiem. Przykro patrzeć, jak systematycznie od lat niszczy swój wizerunek, angażując się w spory, w których często zabiera agresywnie głos opowiadając zwyczajne głupoty.

Wałęsa kompetentny jako przywódca strajku i Przewodniczący Solidarności, zostając Prezydentem Rzeczypospolitej osiągnął swój próg niekompetencji. To go przerosło. Teraz prezentuje swe przerośnięte ego, niewiedzę i zarozumialstwo, usiłując być wielkim, choć zachowuje się jak mały żaloszny, zazdrosny i zgorzkniały człowiek.



Alicja Osika

Ćwiczenia warsztatowe – grupa Media

Kiedy byłam dzieckiem...

Kiedy byłam dzieckiem, kochałam swoją szmacianą lalkę i troszczyłam się o nią.

Kiedy byłam dzieckiem, słuchałam całą sobą, jak mama czyta mi *Dzieci z Bullerbyn* i bardzo chciałam tam zamieszkać.

Kiedy byłam dzieckiem, moja mama była dla mnie najważniejsza.

Dzieciństwo kończy się, kiedy nie wierzymy już w opowiadane baśnie i kiedy stajemy się odpowiedzialni.

Zapach, który pamiętam

Jest ich wiele – niektóre z nich poznałam w dzieciństwie i pewnie te najmocniej pamiętam.

To zapach niedzielного rosołu, który dochodził na mrugającym ogniu i w miarę upływu czasu rozpełzał się po mieszkaniu, dając jakieś poczucie bezpieczeństwa i ciepła.

To zapach bzu w ogrodzie mojej babci i zapach chleba, który piekła i który smakował jak żaden potem.

A wiele lat później zapach niemowlęstwa mojego dziecka, kiedy je przytulałam.

Kuzynka

Jest osobą ciepłą i na wskroś dobrą. Jest matką dwóch córek i babcią na całym etacie. Z wykształcenia jest psychologiem i pracuje z dziećmi opóźnionymi umysłowo. Jest podobna do Madzi z *Emancypantek*. Największą radość daje jej pomaganie innym. Czasem mam wrażenie, że się w tym zatracza. Zawsze ma czas dla innych – zupełnie zapominając o sobie. Nie nosi żalu do nikogo, wszystko potrafi wybaczyć. Nie można jej nie kochać. Taka jest Krysia.





Anna Pawlus

Kolejne ćwiczenie warsztatowe w grupie Proza. Opowiadanie stworzone do abstrakcyjnego, losowo stworzonego tytułu.

Drukarz śpi w Willi Decjusza

Od trzydziestu lat pracuję w zakładach graficznych. Obsługuję komputerowo maszynę drukarską offsetową, czterokolorówkę. Pracuję na trzy zmiany. Najlepsza jest ta od siódmej do piętnastej, potem całe popołudnie mam dla siebie.

Lubię majstrować przy samochodzie, mogę skosić łąkę, obejrzeć coś w telewizji, pogadać z wnuczkami. Mam dwie wnuczki. Troje dzieci. Jedną żonę. Przeszła na emeryturę, robi różańce i sprzedaje na Allegro. Wydaje mi się, że jednak nie jest aniołem. Często krzyczy, krytykuje i ma pretensje. Nie jest kobietą do tańca i do różańca. W pracy drukuję ciekawe książki. Muszą być idealnie wydrukowane, zwłaszcza albumy. Jak są jakieś wady, plamy, zgięcia kartek, trzeba druk powtórzyć. Przy maszynie pracuje pomocnik. Podaje papier. Jest to młoda kobieta. Ładna. Miła. Chyba się we mnie kocha. Często się do mnie uśmiecha. Lubi rozmawiać, opowiadać o sobie. Chyba muszę zaprosić ją na kawę.

Niedawno zadzwonili do mnie znajomi, żebym przyjechał do Krakowa. Odwiedzam ich czasami. Wyjazd na weekend z domu, z małej miejscowości pozwala odpocząć od codzienności na trzy zmiany, od Allegro, od internetu. Bardzo lubię zwiedzać Wawel, Sukiennice, spacerować wokół Rynku. Jest bardzo atrakcyjny, światowy, dużo się tu dzieje. Chodzimy zawsze na obiad do Willi Decjusza – jak szaleć to szaleć. Piękne miejsce, dobra restauracja, wygodne fotele, znakomite wino. Tym razem trochę to dziwne, że po obiedzie kawę do stolika przynosi moja koleżanka z pracy, głaszcze mnie, szepcze coś do ucha, całuje... Znajomi trochę za głośno pytają:
– Chcesz sobie jeszcze podrzemać? Chcemy już iść, wstawaj. Wstawaj!





Tadeusz Starzyk

Po spotkaniu z Wojciechem Nowickim – zorganizowanym w ramach Salonu Literackiego – opowiadającym o tym, że recenzja kulinarna powinna być nie tylko o jedzeniu, ale przede wszystkim poruszać tematy okoliczne – miejsce, obsługę, historię danej restauracji, uczestnicy warsztatów zostali zaproszeni do napisania własnej recenzji. Tutaj wizyta w restauracji jest tylko pretekstem do stworzenia znakomitego tekstu satyrycznego. Odważny, dowcipny i równocześnie smutny, spełnia założenia komedii idealnej. Teorie spiskowe otaczają nas ze wszystkich stron i łatwo im ulec. Autor im nie ulega i potrafi w świetny sposób opowiedzieć o, niestety, powszechnym światopoglądzie.

Opowieść prawdziwego Polaka o śniadaniu w Charlotte

Nie zaskoczysz mnie pan tym, żeś pan śniadał dopiero o pół do dziesiątej. Mnie się zdarzyło być na śniadaniu o siedemnastej i to proszę pana w bistro Charlotte na Placu Szczepańskim. A byli tam stłoczeni w kącie ludzie na jakimś spotkaniu z dziennikarzem kulinarnym. Podobno emeryci, którzy się pisać uczą. Różne przechyły mają ludzie na starość. Ale niech piszą, byle tylko prawdę. I właśnie o tę prawdę pytała tam jedna pani dziennikarza, a on przyznał się, że nie wie za bardzo, o co jej chodzi. Dziennikarz pytany o prawdę nie wie, o co chodzi. Mówi panu to coś? A pani, ta dużo młodsza od reszty, która z dziennikarzem rozmowę prowadziła, ubolewała, że ludzie się kuszą na jedzenie badziewia w barach za 12,90 zł, a on zaś twierdził, że są miejsca, gdzie warto od czasu do czasu zjeść coś dobrego za 15 zł. Obydwoje mają rację, ale prawda jest taka, że istnieją w Polsce ludzie, a jest ich, niestety, bardzo dużo, których nawet na jedzenie za 12 zł nie stać. Niestety, proszę pana, większość Polaków odżywia się źle. I pytamy się, dlaczego władza tak mało się stara, aby to poprawić? A ja bym proszę pana postawił pytanie z zupełnie innej perspektywy. Czy nie zależy komuś na tym, żeby było tak źle?

W Charlotte masz pan galerię smaków i zapachów. Sery, wędliny z dojrzewającą szynką francuską, konfitury, pasztety, świeże pieczywo, aromatyczne herbatki, soki, a proszę pana taka kanapka z kromki chleba, sera i szynki z nutką chrzanu pozwala bujać kubkom smakowym po wyższych rejonach rozkoszy. Ale, czy mam szczerze powiedzieć panu o woni, która tam przebijała wszystko? Nie domyślasz się pan? To ja panu powiem wprost: czosnek i cebula. Czy to jest przypadek, proszę pana? Wszystko na jedną modłę. Paryż, Warszawa, Kraków. Tam na ścianie w kawiarnianej ubikacji był malunek flamastrem, ale żadne świństwo, proszę pana. Szubienica, pod nią gwiazda Dawida. Nad szubienicą adres internetowy: stopsyjonizmowi.wordpress.com.

Czy słyszałeś pan może o umowie z Izraelem o ludobójstwie Polaków? Nikt nie słyszał, bo oficjalnie ta umowa odnosi się do współpracy rządów Polski i Izraela w dziedzinie zdrowia i medycyny na lata 2011 do 2015. A współpraca polega na tym, że żydowskie firmy farmaceutyczne produkują lekarstwa z trucizną, a my je kupujemy. Jedna taka firma nazywa się Elly Lilly. A kimżeż była Lilly? Żeńskim demonem odpowiedzialnym za uśmiercanie gojów. Cała umowa to kamuflaż. Talmud zaleca nie udzielać pomocy gojom w ich problemach zdrowotnych, a nawet zachęca, aby ich niedyspozycje pogłębić tak, aby pogorszyć stan zdrowia goja albo go uśmiercić.

Odpowiednie ministerstwa też podpisały deklarację o współpracy w dziedzinie zaopatrzenia w wodę. I oni będą nam ją uzdatniać. A czy pan wiesz, że fluor otępia ludzi i obniża ich aktywność? Jeśli lucyferianie mają kontrolę nad polskimi źródłami, to w czasie wojny mogą nas po cichutku wytruć w krótkim czasie. Nie muszę pana przekonywać, że nierząd mamy, nierząd. To proszę pana agentura MOSAD-u działająca na niekorzyść narodu polskiego za zgodą nadagentury watykańskiej.

Gdy tylko wróciłem z Charlotte do domu, włączyłem telewizor. I proszę. Okazało się, że w tupolewie był trotyl. Widzisz pan, jak się to wszystko układa w jedną całość?



Małgorzata Szreniawa-Gut

Pierwszy tekst powstał w ramach comiesięcznych warsztatów „Saga po Sadze” – będących samodzielną inicjatywą uczestników wiosennej edycji projektu. Zadaniem było napisanie romansu lub kryminału osadzonego w scenerii Willi Decjusza, z Białą Damą, nieślubnym dzieckiem i kucharzem w rolach głównych. Drugi to jedno z ćwiczeń warsztatowych grupy Media.

Biało-czarna

Biało-czarno. Poranne słońce wyłocilo jesienne kolory drzew w Parku Decjusza. Willa spała jeszcze. Goście zjechali tu poprzedniego dnia. Dziś przy podwieczorkowej herbacie zostanie odczytany testament zmarłego tydzień wcześniej potomka Decjuszów. W pałacowej kuchni krzątał się już młody kucharz. Kroił warzywa z zapamiętaniem i złością. Trach, pietruszce złamał kręgosłup. Teraz obdarł ze skóry marchewkę i kroił w kawałki. Łała się buraczana krew i trupy warzyw zasłały już połowę stołu.

– Nie wyglądam jak mulat – myślał – W połowie jestem czarny, w połowie biały. Pokazują mnie jak małpkę. Cała rodzina wie, że mój przodek pracował tutaj także.

Czarnoskórego kucharza sprowadziła tu owa dama, która błędzi nocami po Willi. Miała ona romans z kucharzem. Owocem tej miłości było biało-czarne dziecko. Naznaczone. Kiedy jej mąż ujrzał rzekomo swojego potomka, porwał strzelbę i zastrzelił oboje. Dziecko pozostało pod jego opieką. Anna jednak nie odeszła w zaświaty. Jej biało-czarny wizerunek wciąż tkwi na ścianie komnaty prezydenckiej. Dama co noc ze ściany schodzi. Wędruje po schodach w dół i w górę, śpiewając bluesy w obcym języku.

Dziś okaże się, czy wieloletnia praca została doceniona. Jeśli nie, poleje się krew. Z lubością pogłaskał ostrze noża.

Co mnie zachwyciło

Krakowem zawładnęła Terpsychora. Z Buenos Aires zjechali mistrzowie tanga argentyńskiego i *tangeros* z całego świata. Festiwal wrażliwości. *Quell charm!* Milongi, pokazy, koncerty, *afterparty*. *Ganchos, ochos, secadas* – figury tan-gowe. Muzyka, ogoniaste kiecki we wszystkich kolorach. Buty błyszczące, połyskliwe. Pary połączone tajemną więzią na kilka chwil. Dopóki taniec trwa. Mój partner i ja – także. Cóż za szczególny *feeling*.

Ale dość słów. Pisać o tańcu, to jak tańczyć o literaturze.



Barbara Waksmańska

Pierwszy tekst to komentarz do fikcyjnego doniesienia medialnego – „W listopadzie 2015 w ławach sejmowych zasiądzie 300 posłanek”. Drugi tekst powstał w ramach comiesięcznych warsztatów „Saga po Sadze” – będących samodzielną inicjatywą uczestników wiosennej edycji projektu. Zadanie polegało na dopisaniu do zdania: „jestem szarą myszą” krótkiej historii osoby, która po wizycie u psychoterapeuty zmienia swoje nastawienie do życia.

W ławach sejmowych zasiądzie 300 posłanek

Trzysta posłanek wybrano na nową kadencję Sejmu! Pełny sukces lobby kobiecego! Wyniki wyborów wykazały, że społeczeństwo ma dość złotoustych polityków różnych opcji politycznych, skłonnych obiecać wyborcom wszystko, nawet gruszki na wierzbie, żeby o tych gruszkach natychmiast zapomnieć po objęciu mandatu. Poselskie inklinacje do przyspawania się do ław poselskich, to już chyba przeszłość. Była to zdecydowanie męska specjalność. Ławy poselskie nabiorą kolorytu, zdrowego wyglądu, będą przyjemne i estetyczne. Z mównicy sejmowej będą padać konkrety, a dziadek z Wehrmachtu będzie spał spokojnie.

Pani z poczty

Jestem szarą myszą. Pracuję na poczcie. Marek wykrył u mnie depresję, która biła po oczach. Zaprosił mnie na kanapkę, zgodziłam się, ale jako osoba nieufna, z pewnymi oporami, bo kozetka kojarzy mi się z molestowaniem. Dobrze mu patrzyło jednakowoż z oczu, więc zalegałam na przedmiotowej kanapce i poddałam się hipnozie.

Budzę się.

Idę na pocztę, rzucam pieczętki, mówię „*good bye*” i oddalam się z godnością i dostojeństwem, tudzież zadziwieniem, co tu w takim parszywym, nieciekawym miejscu mnie trzymało. Idę do domu, wślizguję się na pokoje, ustawiam domowników po kątach, zalegam na kanapie. Wieczorem wkładam najbardziej seksowną koszulkę na ramiączkach i oddaję się różnym przyjemnościom bez żadnej powściągliwości. Sąsiedzi stukają w podłogę i sufit. A co mi tam...



Mariola Wójtowicz

Ćwiczenia warsztatowe - grupa Proza

Tajemnica

Słuchaj, musimy się spotkać, mam super tajemnicę, ale to nie przez telefon!

– Wiesz już? Wczoraj Ewa była u Mariny. Marina znów zmienia pracę. To już kolejny raz. A jej mąż dalej siedzi w tej Anglii, prawdopodobnie nie ma pracy i wegetuje na ulicy. Dzieci podobno mają problemy w szkole, Łukasz chyba będzie powtarzał klasę. Tylko błagam Cię, nic nikomu nie mów, żeby nie było, że ploty roznoszę.

– U Mariny? Tej, z którą siedziałś w jednej ławce? Ona zmienia pracę, bo dostała awans, przechodzi do pracy w Centrali. Jej mąż pracuje w banku w Londynie, właśnie kupił mieszkanie w Warszawie – wraca do kraju i dlatego Marina skorzystała z propozycji przeniesienia się do Centrali. Łukasz, ich syn właśnie wygrał międzynarodowy konkurs informatyczny i dostał stypendium na jednej ze szwajcarskich uczelni. No to jaką to masz tajemnicę, o której nie chciałaś mówić przez telefon?

Drukarz śpi w Willi Decjusza

W jednej z małych krakowskich drukarni podjęto realizację ciekawego zlecenia – druk folderów dla Stowarzyszenia Willa Decjusza.

Antoni lubi swoją pracę. Ma okazję do przeglądania, czy nawet czytania książek i albumów, nad drukiem których sprawuje pieczę. Z przedstawionego projektu folderu dowiedział się tak wiele o pałacu, który wielokrotnie mijał, nie zastanawiając się, kiedy został zbudowany, przez kogo, jak jest wykorzystywany teraz. A tu proszę – ciekawa historia, eleganckie salony, cenne obrazy, meble pamiętające ubiegłe wieki.

Sala Czartoryskiej, Lubomirskich, Prezydencka, Błękitna – same nazwy działają na wyobraźnię, a co dopiero ich wygląd. Dostosowane do tego, aby Willa była miejscem konferencji, koncertów, wydarzeń kulturalnych. Ich uczestnicy nie muszą szukać hoteli, mogą mieszkać w luksusowych apartamentach na miejscu, w Willi.

Jak dobrze odpocząć w takim apartamencie po ciężkim dniu pełnym arcyciekawych wykładów, zajadłych dyskusji, zaskakujących doznań artystycznych. Po wystawnej kolacji w Sali Bankietowej Antoni przeciąga się na miękkim materacu. Przykrywa się jedwabną pościelą. Blask księżyca (a może to światło pobliskiej latarni?) oświetla ścianę z ciekawą, całkiem współczesną abstrakcją. Ale czuje się zbyt senny, żeby wstać i zaciągnąć stopy z bogatego brokatu przetykanego złotą nitką, z ciężkimi bordowymi frędzlami. Morfeusz nie musi się długo wysilać, żeby zawładnąć nim całkowicie.

Tylko ten hałas! Dlaczego ktoś czegoś z tym nie zrobi?! Po raz kolejny budzik łąduje na podłodze. Minęła szósta, czas wstawać i iść do drukarni.



Michał Znamirowski

Ćwiczenia warsztatowe – grupa Media

Kiedy byłem dzieckiem

Kiedy byłem dzieckiem, byłem człowiekiem szczęśliwym, z czego sprawę zdałem sobie dopiero wtedy, kiedy zacząłem obserwować swoich uczniów i ich fascynacje. Najpierw: grami komputerowymi, komputerami, internetem; potem: wtedy swojej szczęśliwości byłem już pewien, kiedy uczniowie zaczęli zdradzać oznaki pewnego uzależnienia – zapominając o lesie, łące, różnego rodzaju sportach... grze w „zośkę”, w „cymbergaja”...

Tak, na pewno byłem człowiekiem szczęśliwym.

Dzieciństwo kończy się... u prawdziwego mężczyzny dzieciństwo się nie kończy.

On

Siedzi na wysokim, portugalskim klifie. Trwa to już kilkanaście godzin. Wpatruje się w rozbijające się o skały fale. Ocean jest wzburzony. A on spełnia swoje marzenie życia – siedzieć na brzegu oceanu i nic nie robić, tylko wpatrywać się w ten ogrom huczącej wody dzień i noc... Jest duży, z wielkim brzuchem, którego nie może się pozbyć, choć mało jada – raz dziennie, czasem dwa. Za to wypija dużo kawy. Przywiązał się do powiedzenia księdza proboszcza, że nie jedzą, a tyją tylko anioły... Kiedyś poprosiłem go o poradę. Powiedział: rób jak ja, posługuję się trójkątem wpisanym w okrąg. Taką triadą zasad: prawo, Biblia i zdrowy rozsądek.

Wiadomości z Gawroniego Wzgórza

W ubiegłą niedzielę dn. 20 maja br. na Zamku na Gawronim Wzgórzu odbyło się spotkanie Koła „Bądź mym Znajomym”. Płomienną mowę inauguracyjną wygłosił Pan Prezes. Dotyczyła ona wszystkich elementów Statutu Koła i ich realizacji, a także roli Koła w rozwoju społecznym naszego Regionu. Pan Prezes przywitał również Dostojnych a nawet Czcigodnych Gości. W imieniu Gości przemówił Pan Marszałek. Zarówno Pan Prezes jak i Pan Marszałek otrzymali burzliwe brawa, w przypadku Pana Prezesa przechodziły one w owacje na stojąco. Po zabraniu głosu przez kilku członków koła, które niewiele nowego wniosły do i tak już doskonałego Programu Koła, odbył się uroczysty obiad. Wina nie podano.



Adam Zyzman

Ćwiczenie warsztatowe – grupa Proza

W poszukiwaniu diabła

Pierwsze wspomnienie, które na zawsze wryło się w moją pamięć dotyczy zdarzenia, gdy z bratem mieliśmy niepełne trzy lata. Być może fakt, że zostało ono przeze mnie tak doskonale zapamiętane wynikało z tego, że stałem się mimowolnym bohaterem rozmów sąsiadów, a moja mama jeszcze przez kilka miesięcy je przeżywała, opowiadając wszystkim ciotkom i znajomym. Być może, widząc jak ważne to było dla dorosłych, szczególnie tego zdarzenia utkwiły w mojej pamięci do dnia dzisiejszego.

Był ciepły wrześniowy dzień, gdy nasza mama zostawiła mnie z bratem, bawiących się wokół wiejskiego domu. Nie można powiedzieć, że bez opieki, bo co jakiś czas odrywała się od pracy w kuchni i wychodziła na podwórze sprawdzić, co się z nami dzieje. Jakoż szybko tego dnia okazało się, że podwórze to dla nas za mało i za kolejnym razem znalazła nas na tyłach domu bawiących się w pobliżu stojącej tam, opartej o dach domu drabiny.

Mama jakby wyczuwając niebezpieczeństwo zapowiedziała nam, że na drabinę wchodzić nie wolno, ale ja właśnie odkryłem, że potrafię to zrobić! Pamiętam, że by pokonać odległości między szczeblami drabiny, musiałem na pierwszy szczebel dostać się wyłącznie kolaniem. Musiałem na nim uklęknąć, podciągnąć się i dopiero wówczas stanąć stopami na szczeblu. I tak samo na kolejny szczebel... Mama nawet pozwoliła mi na tę prezentację umiejętności, ale zakazała, że wyżej niż na drugi szczebel wejść mi nie wolno. Po kilkunastu jednak minutach mój bliźniaczy brat przerwał zabawę i udał się domu w poszukiwaniu nocnika, więc samotna zabawa już nie była najciekawsza, zaś całą moją uwagę i wyobraźnię pochłonął wystający ze szczytu domu komin. Źródłem tej fascynacji była skarbonka, jaką posiadała nasza koleżanka i rówieśniczka z sąsiedztwa. Był to plastikowy domek z otworkiem w szczycie daszku. Gdy wrzucało się monetę do tego otworu za pomocą jakiegoś mechanizmu z kominu domku wyskakiwał czarny diabełek.

Byłem niezmiernie ciekaw, czy w tym kominie na moim domu też siedzi taki diabełek. Powoli więc zacząłem sprawdzać, czy jestem w stanie wejść wyżej po drabinie. Okazało się, że opracowana przeze mnie technika pokonywania szczebli doskonale się sprawdzała. Wspinałem się wyżej i wyżej, gdy doszedłem do powierzchni dachu pamiętam, że poczułem się znacznie pewniej, gdyż pod nogami nie miałem już otwartej przestrzeni. W każdym razie niebawem dotarłem do kalenicy dachu. Końce drabiny wystawały ponad szczyt dachu, toteż, stojąc na ostatnim szczeblu mogłem się pewnie trzymać tych końców. Stojąc na drabinie, zastanawiałem się nad sposobem przejścia od drabiny do komina, odległego o jakieś dwa metry, a jednocześnie podziwiałem widok podwórza, na którym nagle pojawiła się mama. Warto pochwalić się swym wyczynem, więc krzyczę z góry – Mama, ja tu!

Mama rozgląda się wokół, nie może mnie zlokalizować, raz jeszcze rozgląda się nerwowo i... dostrzega mnie na szczycie dachu! – Adasiu! Stój! Nie ruszaj się! – krzyknęła i biegiem rzuciła się, by obiec pozostałe zabudowania gospodarcze i dostać się na tył domu. Za chwilę usłyszałem ją już z dołu drabiny. Przybiegła tam razem z ciotką, która stale mieszkała z nami, w tym czasie kopała ziemniaki w pobliżu domu, ale nie widziała stamtąd dachu domu.

Mimo młodego wieku starałem się przekrzyknąć kolejne krzyki mamy, zakazujące mi się wręcz ruszać z miejsca i przetłumaczyć jej, że muszę zajrzeć do tego komina, by sprawdzić, czy ten diabeł tam jest, czy nie. – Stój i czekaj! – upierała się. – Mama już po ciebie idzie. Energicznie wdrapała się na drabinę wzięła mnie w ramiona i... nie była już w stanie zejść. Z połowy drabiny podała mnie ciotce.

To koniec samego wydarzenia. Pozostały jeszcze jego skutki, czyli zdjęcie przez ojca z dachu drabiny, która odtąd do dachu przystawiana była wyłącznie na okres jakiś prac naprawczych lub wizyty kominiarza. A *a propos* tego ostatniego terminu: do tego czasu sąsiedzi, mimo że byliśmy bliźniakami nie podobnymi do siebie, w zasadzie nas nie rozróżniali. Teraz znaleźli rozwiązanie, gdy tylko była mowa, o którymś z nas padało pytanie:

– To ten kominiorz, czy ten drugi?

Saga

Warsztaty Saga w Willi Decjusza służą edukacji i integracji osób starszych poprzez literaturę. Są propozycją satysfakcjonującej i twórczej aktywności po zakończeniu pracy zawodowej. Projekt jest oparty na koncepcji uczenia się przez całe życie, zakłada pogłębienie wiedzy, aktywne uczestnictwo w kulturze, twórczość literacką i aktywność społeczną uczestników i uczestniczek.

W dotychczasowych trzech edycjach wzięło udział ponad 90 osób. Program obejmował następujące elementy:

Warsztaty kreatywnego pisania w dwóch specjalnościach: media i proza.

Otwarte dla publiczności spotkania **Salonu Literackiego**, m. in. z: Magdaleną Dygat, Michałem Olszewskim, Wojciechem Nowickim, Magdaleną Tulli, Michałem Rusinkiem, Sofiją Andruchowicz, Angeliką Kuźniak, Mikołajem Łozińskim.

Konkurs literacki pt. Saga – bohaterowie codzienności.

Klub Saga działający w oparciu o pomysły i zaangażowanie uczestników projektu.

Dokumentacja dotychczasowych edycji Sagi obejmująca teksty osób uczestniczących, informacje, aktualności i zdjęcia znajduje się na stronie internetowej www.saga.villa.org.pl.

Koordynacja:

Anna Kowalska ania@villa.org.pl

Magda Jasińska projekty@villa.org.pl

Stowarzyszenie Willa Decjusza
ul. 28 Lipca 1943 17a, 30-233 Kraków
+48 12 425-36-44
www.villa.org.pl
www.saga.villa.org.pl

Pisanie porządkuje bałaganiarski świat, daje wgląd w sprawy dotąd spowite kompletną głuszą, puszcza w ruch wyobraźnię i pozwala, może to najistotniejsze, na konfrontację z samym sobą. Teksty publikowane w tej książce są dowodem na to, że spotkanie ze słowem może stać się jedną z ciekawszych przygód w życiu.

Katarzyna Kubisiowska

Saga jest dla mnie jedną z najciekawszych przygód pisarskich jakie przeżyłam. Mimo, że mam uczyć, mówić jak pisać i być nauczycielką, najczęściej czuję się odbiorcą historii, emocji, doświadczeń uczestników Sagi. To jest świetne uczucie, jednocześnie uczyć się i być uczoną. A wszystko w dobrej, rozwijającej i za każdym razem zaskakującej atmosferze. Dziękuję!

Joanna Pawluśkiewicz



ISBN: 978-83-61600-84-8

www.saga.villa.org.pl



FORUM DIALOGU KULTUR
Projekt współfinansowany
ze środków
Gminy Miejskiej Kraków

Fundator:



Partnerzy:



korporacja ha!art



wKrakowie.pl



Kulturatka.pl

